Nr. 27. Poznań, dnia 8 Lipca 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465.

Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

Treść nr. 27-go.

Hakatyści — rząd — Polacy.

W *Miłosławiu* pobił w tych dniach jeden z nauczycieli nielitościwie pewnego chłopca. Chłopak z bólu uciekł do domu.

Matka chłopca idzie do szkoły, pokazuje nauczycielowi podarte spodzienki i żąda od niego innych.

Działo się to w czasie przerwy. Nauczyciel oczywiście o wynagrodzeniu podartych spodni nie myśli. Odrzuca je na bok. Matka podobno skarży nauczyciela.

Po przerwie następuje lekcya religii — oczywiście w języku niemieckim. Dzieci drugiej i pierwszej klasy składają książki. Oświadczają stanowczo i jednomyślnie, że religii po niemiecku uczyć się nie będą. Żądają polskiej nauki religii.

Nauczyciel powiadamia rektora. Rektor namawia dzieci do uczenia się religii po niemiecku. Bez skutku.

Przyszedł nareszcie i inspektor. Łagodnie przekonuje dzieci, że nie one rządzą w szkole, że słuchać powinny, że powinny się uczyć religii po niemiecku. Obiecuje inspektor dzieciom, że wyprawi im majówkę, że zawiezie je do Poznania do Zwierzyńca, że zabierze je na inne przejażdżki. Mają się tylko uczyć religii po niemiecku.

Za całą odpowiedź oddawały dzieci inspektorowi biblie i elementarze niemieckie — które im poprzednio już był darował.

Nie wskórawszy nic, inspektor dopytuje się dzieci, kto je podmówił do oporu. Odpowiedź brzmi:

Nikt!...........

Dał wreszcie za wygraną, nakazując jednakże, ażeby na przyszłą lekcyę przyniosły od rodziców piśmienne pozwolenie, że to oni sobie życzą, ażeby ich dzieci uczyły się religii po polsku.

Inspektor i rektor odchodzą. Nauczyciel ponownie podejmuje niemiecką naukę religii. Co jednak w jednej stronie rozpoczął „Vater unser," to już z drugiej dochodzi go donośne „Ojcze nasz."

Wreszcie nie wiedząc sobie rady, nauczyciel rozpuszcza dzieci do domu.

Oto opisane przez korespondenta „Postępu" dwa wypadki.

. . . .

Nauczyciel katuje dziecko — matka idzie do nauczyciela po inne spodzienki — skarży o odszkodowanie.

Smutna to prawda.

Szkoła wydziera dziecku polskiemu duszę — rodzice idą prosić się o wynagrodzenie za podarty szmat.

Hakatyzm szkolny, to hańba dla postępu i kultury dwudziestego wieku — ale w zamian za pobicie dziecka o wynagrodzenie dopominająca się — matka-Polka, to hańba polskości.

Ten wypadek powinien nam otworzyć oczy. Musimy zadać sobie pytanie:

dokąd z takimi bojownikami za polskość dojdziemy?

Przypuśćmy takie załatwienie powyższej sprawy.

Nauczyciel jest mądry — wynagradza matkę — to matka własnemu dziecku musi wmawiać, że nie stała mu się krzywda, że ten nauczyciel nie jest zły, bo za pobicie ją — matkę — wynagrodził, że więc dziecko powinno nauczycielowi ból, jaki mu sprawił, zapomnieć.

Innemi słowy — za pobicie dziecka zapłacona matka będzie szerzyć demoralizacyę pod względem narodowym wśród własnych dzieci, a przez nie wśród innych — oraz sama demoralizować będzie jeszcze inne matki.

Skutek: germanizacya dzieci tych pokoleń, które w przyszłości mają bronić naszej narodowości.

Otóż przeciwko tej demoralizacyi powinno powstać całe społeczeństwo jak jeden mąż.

Wolno iść matce do szkoły, wolno jej dopominać się o swoją krzywdę. — Ta krzywdą jednak, to *pobicie* dziecka, a nie podarte spodzienki.

Czyż to matki szmaty dzieci swoich kochają — a czyż nie kochają one dzieci swoich? Czyż w taki sposób zaprzeczyć chce matka swojej miłości macierzyńskiej do dziecka?

Idźcie upomnieć się — o krzywdy do nauczycieli, ale nie chodźcie po spodzienki do nich. To pierwsze, to wasz obowiązek, — drugie to nie tylko wasz wstyd, ale i hańba całego narodu!

. . . .

W drugim wypadku dzieci nie chcą uczyć się religii — po niemiecku!

Jaka to potężna różnica pomiędzy postępkiem owej matki — a samorzutnym krokiem tych dzieci.

Kto was namawiał? — brzmi pytanie inspektora, kiedy już wyczerpał wszystkie środki namowy.

Nikt!......... oto znamienna odpowiedź.

Ten postępek dzieci równa się w naszych stósunkach — bohaterstwu.

Nauczyciel katuje dziecko — matka upomina się o inne spodzienki, więc niedojrzałe pacholęta wstydzą się wstydu owej — matki i dają godną odpowiedź.

Nie będziemy się uczyć po niemiecku religii.

Z postępku owych dziatek społeczeństwo nasze może być dumne.

. . . .

Hakatyzm i rząd pruski ponieśli w Miłosławiu ogromne fiasco.

Myśleli oni, że obecne pokolenie Polaków, może jedno i drugie po nas jeszcze będzie polskiem. Liczyli atoli na to, że późniejsze pokolenia, wychowane w klubach obecnego systemu — muszą się zniemczyć.

I o czemże to świadczą powyższe wypadki?

O tem, że raczej dawniejsze i obecne pokolenia bliższe były zniemczeniu, aniżeli będą późniejsze.

Matka idzie prosić o gałganek — dzieci nie chcą się uczyć religii po niemiecku.

To mówi samo za siebie, różnicy pomiędzy jednym postępkiem a pomiędzy drugim wcale tłomaczyć nie potrzeba.

. . . .

Przyznajemy się szczerze, że chłodno obliczając szanse walki, jaka się toczy między hakatystami, rządem — a nami Polakami, mieliśmy obawę, że szkoła rozstrzygnie tę walkę — na naszą niekorzyść.

Tymczasem Miłosław jest dowodem, że obawy nasze były płonne, że niekoniecznie potrzebują docierać do serc polskich głośne słowa napomnienia — lecz że i tak biją one szczerze po polsku — nawet pod knutem hakatyzmu, nawet w niedorostkach, bo — w dzieciach szkolnych.

Cześć owym dzieciom, cześć przed całym światem!

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wystawa przemysłowa w Kościanie.

(Szkic ekonomiczno-społeczny).

I.

Otwarta dnia 24-go czerwca, a zakończona dnia 1-go lipca b. r. kościańska „wystawa przemysłowa" ma krótką, ale znamienną historyę.

Myśl urządzenia wystawy nasunięta została w Tow. Przemysłowem w Kościanie jeszcze w październiku ub. r.

Pochop do tej myśli dała dyskusya o korzyściach, jakie daje rzemieślnikom — izba rzemieślnicza. Do korzyści — rzekomych — miały należeć także wystawy urządzane przez owe izby. Tymczasem wśród dyskusyi stwierdzono fakt, że kilka wystaw izb rzemieślniczych naraziły rzemieślników należących do obwodu danej izby — na straty i koszta, a korzyści nie przyniosły żadnej. Nie sięgając daleko, n. p. wystawa izby rzemieślniczej bydgoskiej wykazała deficyt powstały z urządzenia wystawy w wysokości około 30 000 marek. Deficyt ten mieli pokryć członkowie izby bydgoskiej. Czy spór powstały stąd między zarządem izby a reprezentacyą rzemieślników już został rozstrzygnięty — nie wiadomo nic.

W każdym razie wypadek to znamienny, charakteryzujący działalność urządzeń państwowych na korzyść (?) obywateli — kosztem ich kieszeni.

To nie sztuka.

Zebranie Tow. Przemysłowego w Kościanie doszło po obszernej dyskusyi do przekonania, że wielkie wystawy rękodzielnicze, obejmujące obwody całe n. p. izb rzemieślniczych korzyści rękodzielu przynieść nie mogą.

Czemu?

Rzadko rzemieślnik z małego miasta wyrób swój wysyła daleko po za granice najbliższej okolicy. Jeżeli więc n. p. rzemieślnik z Ostrowa wystawi swój wyrób w Poznaniu, to wystawiony przedmiot klienteli mu w Poznaniu nie przysporzy. Nikt bowiem z Poznania — bardzo chyba rzadko — zamawiać sobie będzie jakiś wyrób na prowincyi. Przeciwnie natomiast, często ktoś z Ostrowa lub okolicy sprowadzi sobie ten lub ów wyrób z Poznania.

Praktyczny stąd wniosek jest taki, że rzemieślnik powinien starać się o miejscową albo w pobliżu jego siedziby mieszkającą klientelę.

Jeżeli więc wystawa jaka ma się przyczynić do przysporzenia mu klienteli, to tylko taka, która przystępną jest dla ludności z danej miejscowości i okolicy. A ponieważ trudno namawiać setki albo i tysiące ludzi, ażeby n. p. z Kościana jeździli sobie oglądać wystawy w Poznaniu lub jeszcze gdzieś dalej — zatem należy urządzić wystawę na miejscu.

To był praktyczny, na doświadczeniu oparty wzgląd, który polecał urzą-

Naród Polski pod obcem panowaniem.

12) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

To też zbiegali się do Polski z całych Niemiec ludzie, którzy w swym kraju nie najlepszej używali opinii. Byli pomiędzy nimi i Polacy, lecz z tych dopuszczano do niektórych urzędów tylko ewangelików i to wychowanych w szkołach niemieckich.

Takimi byli kalwiniści wielkopolscy, a na ich czele Mielęcki landrat międzyrzecki.

Otwierało się dla chciwych Niemców, tych posad rządowych bardzo wiele. Sami bowiem Niemcy mieli tylko prawo dzierżawić t. zw. „Amty," utworzone z dawnych starostw, dóbr i leśnictw rządowych, tudzież z dóbr duchownych, i zabranych na skarb państwa. Albowiem po powstaniu wielkopolskiem skonfiskowali Prusacy wiele tych dóbr i wydalili urzędników - Polaków, a łamiąc wyraźne zastrzeżenia traktatowe, konfiskowali też wszystkie majątki kościelne probostw, biskupstw, opactw, kapituł i zakonów [1]). Starostowie mieli teraz tak szczupłe *kompetencye* t. j. zakresy działalności swej władzy, że równały się one dawnej *kwarcie* t. j. czwartej części dawnej władzy i dochodów.

Trudno opisać, co działo się teraz w biednej Polsce pod zaborem pruskim. Roiło się w niej od Niemców różnej kategoryi; zbiegała się biedota niemiecka, aby wypasać się na zrabowanym chlebie polskim, zdala nawołując się gorliwie:

— Ściągajcie bracia ku wschodowi, do Polski!

— Zabierajcie żony i dzieci i przybywajcie a prędko! Czeka tu na was urodzajna, dobrze uprawna ziemia, zabrana polskim dziedzicom! Tyle dworów, tyle gruntów, tylko brać i używać!...

— Przybywajcie, nie namyślajcie się długo! Dobry król pruski daje kolonistom naszym pieniądze na drogę, na żywność, daje wolność od wojska i od podatków, daje opiekę rządową. I jeszcze oprócz tego tysiąc talarów na jednego kolonistę, czy to mało?!

— Przyjeżdżajcie pracowici rodacy, bo oprócz ziemi i majątków w polskich ziemiach roboty publiczne, dobrze płatne, tylko Niemcom oddane zostaną!

I dodawali oszołomieni z radości Niemcy:

— Żeńcie się i z rodzinami spiesznie przybywajcie

[1]) Lewicki, 372; Morawski, VI, 7

dzić wystawę nie na szeroką obliczoną skalę, lecz na stósunki miejscowe.

Projektowana wystawa kościańska miała dać następnie dowód, że nie ochrona i opieka państwowa podnosi przemysł, lecz że to jest rzeczą samych przemysłowców i rękodzielników. Idziemy dalej nawet — że tylko samopomoc zdolna jest w danym razie ratować straty rzemieślników spowodowane przez lichą gospodarkę państwową w państwowych instytucyach jak izby rzemieślnicze.

Wreszcie miała wystawa kościańska jeszcze dwa względy na oku:

1) dać dowód, że przemysł polski w Kościanie zasługuje na poparcie „swoich", że więc o ile chodzi o rzemieślników kościańskich hasło „swój do swego" ma wszelką racyę bytu

2) miała wystawa pokazać, o ile przemysł polski robi postępy.

Takie były przewodnie myśli inicyatorów wystawy.

Zobaczymy w następnym numerze, o ile wystawa kościańska tym wytycznym zadość uczyniła, a o ile się z niemi rozminęła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kupujcie ziemię!

Koszyce, p. Piłą, dn. 28 czerwca 1906.

Rodacy na obczyźnie!

Od lat dziesiątek uczuwamy potrzebę i obowiązek choćby za każdą cenę ziemię naszą w naszych rękach utrzymać, a na wiecach naszych krytykujemy słusznie każdego sprzedawczyka.

Kochani rodacy! Sama krytyka jednak nic nam pomódz nie może, jeżeli się nie weźmiemy do pracy i nie wykorzystamy każdej sposobności, nadarzającej się nam do nabycia kawałka ziemi. Mamy rozmaite banki, które sobie wzięły za zadanie przeciwdziałać systemowi nam wrogiemu, przez rząd prowadzonemu. Owe banki wykupują wszelką ziemię dla nas zagrożoną i pragną ją rozprzedać w mniejszych lub większych częściach pomiędzy nas przy najkorzystniejszych warunkach. Niestety, brak nabywców ziemi. Temu mogliby w bardzo wielkiej mierze zapobiedz właśnie rodacy na obczyźnie.

Kochani rodacy! Ja niżej podpisany przebywałem około 20 lat na obczyźnie, znam Westfalię, Saksonię, Brandenburgię, Łużyce i inne okolice. Ilu tam jest braci naszych, którzy się grosza dorobili i mogliby do kraju powrócić i pracować na ziemi swych przodków!

Jednakowoż tego nie czynią, ale zakupują sobie domy na obczyźnie jakby na urągowisko dla społeczeństwa, gdyż tam ich niechybnie czeka germanizacya, jeżeli nie ich samych, to na pewno ich dzieci.

A zajrzyjmy tylko w zagłębie westfalskie. W niektórych okolicach znaleźć można całe ulice, gdzie właścicielami domów są sami Polacy.

Mimo tego, że w kraju dziś ziemia jest droga, jednakowoż na obczyźnie, a mianowicie pod budowle jest daleko droższą, tak iż suma, której potrzeba do wpłacenia na zakupno domu na obczyźnie, wystarczałaby zupełnie na wpłatę dla banku do zakupienia sobie posiadłości około 30 mórg ziemi.

Jeżeli sobie kupi jaki górnik w Westfalii chałupkę i wpłaci na nią około 6 do 10,000 mrk., to ów górnik musi nadal chodzić do pracy i jest zupełnie zależnym człowiekiem i każdej chwili wystawia swe życie na niebezpieczeństwo w kopalni, tymczasem, je żeliby sobie za swą zaliczkę kupił szmat ziemi z budynkami od jakiego banku polskiego, to ma na niej zupełne utrzymanie i wie, iż jego narodowość nie jest na utratę narażona. Niejeden może mi powiedzieć, iż on już dziś w polu pracować nie potrafiłby. Na to mu odpowiadam, iż ja po 20-tu latach wróciłem i na razie nie mam potrzeby w polu robić, ale z największą przyjemnością chwytam za pług i orzę swą skibę. Tak by każdemu szło po swej wędrówce.

A zatem kochani rodacy! Celem naszej wędrówki po obczyźnie niech będzie to: zbierać grosz do grosza, a potem dalej do kraju i jeszcze raz do kraju.

Wszelkich informacyi co do kupna od najmniejszych do największych gospodarstw i dóbr, od banków polskich udziela zupełnie bezpłatnie Teodor Błoch, prezes Związku Towarzystw polsko-katol. robotników w Niemczech. Adres mój obecny: T. Błoch, Koszyce pod Piłą (Koschitz Schneidemühl).

* * *

Odezwę tę umieszczamy za „Dzien.

---

do Polski, bo tu raj ziemski dla nas, bo tu ma się na czem rozmnażać dzielne nasze plemię niemieckie!

A gdy tak pstrzyło się teraz w polskich ziemiach od obcych przybyszów, od jaskrawych, kraciastych ich krótkich szpencerków i kurtek, jakoteż obcisłych ich pluderków, od żółtych i szafirowych strojów ich niemieckich towarzyszek; i gdy w polskich dworach zatrzymywały się ciągnione przez psy i małe koniki ich pakowne budy i kolaski, zawierające cały ich dobytek, a nad temi na kołach toczącemi się całemi wsiami niemieckiemi unosił się obcy dotąd w Polsce, rażący i niemiły szwargot; — natomiast z ziemi polskiej pędzono het w dalekie strony naszych hożych parobczaków wiejskich, z obciętemi włosami, wziętych „w kamasze", odzianych w pruskie mundury, a u progów polskich chat wiejskich rozlegały się płacz i lament nieszczęśliwych ich matek i żon:

— O niegodziwi, zabieracie przemocą polskich kantonistów, [2]) pakujecie gwałtem „w kamasze" naszych drogich mężów i synów, i wysyłacie ich daleko w kraj niemiecki, na granicę francuską, żeby ich niemczyć, żeby ich zabijać, żebyśmy ich już nigdy w życiu nie zobaczyły!

A szatańsko wrogimi pomysłami odznaczający się Hoym, gdy trochę odetchnął w zaciekłej gospodarce niemieckiej, prowadzonej w ziemiach polskich, zaczął w cichości obliczać swoją pracę.

— A co, niezłe idzie..., — szeptał — za dwadzieścia milionów talarów rozdaliśmy już skonfiskowanych majątków polskich naszym niemieckim rodakom!... [3]) A gdy zaufany jego młody urzędnik zapytał nieśmiało:

— Ekscellencyo, miało być zaprowadzone stowarzyszenie kredytowe na wzór Śląska?

— Tak, tak, — odpowiedział Hoym — wprawdzie obiecałem to Polakom, ale teraz zrobimy co innego, bo . . . pieniędzy polskich jest dosyć...

I ciszej dodał:

— Mamy aż nadto sum bankowych, są kasy inwalidów, można też ruszyć sumy depozytowe, majątki wdów i sierot....

— Naruszyć polskie sumy depozytowe..., majątki wdów i sierot?... -- powtórzył, jak echo, zdziwiony urzędnik.

Hoym błysnął wzrokiem i rzekł głośno:

— Otworzę dla Polaków rządowe pożyczki na niski procent!

— Takie dobrodziejstwo dla nich?! — zawołał urzędnik z przyjemnem ożywieniem.

[2]) *Kanton*, z franc., granicami określona okolica kraju, okręg, wyraz używany głównie w geograficznym podziale Szwajcaryi; także okręg dla werbowania wojska. — *Kantonista*, kandydat do służby wojskowej wybrany jako rekrut z pewnego okręgu, czyli z kantonu.

[3]) Według *Czarnych ksiąg* zniechęconego Prusaka Zerboniego.

Berlińskiem", uczynilibyśmy to i bez wyraźnego życzenia p. Błocha.

Czemu? — Uważamy bowiem sprawę podniesioną przez p. Błocha za bardzo żywotną i ważną. Powrót do kraju uważamy dla rodaków naszych na obczyźnie za wręcz konieczny, jeżeli chcą, ażeby ich dzieci, wnuki i prawnuki pozostały Polakami. Inaczej nastąpi to, o czem mówi p. Błoch — dzieci w pierwszem lub drugiem pokoleniu już będą Niemcami.

Słusznie potrąca p. Błoch o to, że nierozumnie postępują sobie ci rodacy, którzy się we Westfalii okupują. Kto ma dom w Westfalii — przywiązany jest do tego domu, wrócić do kraju nie może i lekkomyślnie dzieci swe naraża na niebezpieczeństwo germanizacyi.

Zatem, kochani Bracia nie stawiajcie sobie domów na obczyźnie, wracajcie do kraju i tu kupujcie kawałek polskiej ziemi. A czas nagli — bo kolonizacya i rząd pruski nie śpi, ale wszelkich sił dokłada, by nas tej ziemi do reszty pozbawić.

W interesie ubogich dzieci.

W sprawie tow. kolonii wakacyjnych odbieramy następujące pismo. Umieszczamy je pomimo opóźnienia, a to dla tego, że istotnie tak smutnego objawu braku ofiarności dla łaknących odpoczynku i świeżego, polskiego powietrza dzieci polskich — milczeniem pominąć nie podobna. Pismo nasze brzmi:

Według doniesień poznańskich pism na 1000 dzieci, które się zgłosiły o pobyt na wsi, ofiarowano miejsc 130! Cyfra wymowna, świadcząca wyraźnie, jak mało jeszcze zrozumienia i sympatyi ma w naszem społeczeństwie sprawa kolonii wakacyjnych. Lubimy chwalić się naszą ofiarnością — a oto wobec zestawienia tych cyfr zapytać się musimy: gdzie ona? Nie ma jej tu, gdzie potrzeba nie kilku marek lub trojaków, ale ofiary osobistej, ofiary myśli i pracy — i serca.

Każdy dom nie tylko właściciela wsi, ale i proboszcza, nauczyciela, dzierżawcy mleczarni, rządzcy, karczmarza, każdy z tych domów jest o tyle zamożnym, że przyjęcie jednego dziecka, nie sprawi mu uszczerbku.

W ciasnych uliczkach biednych dzielnic Poznania setki dzieci ubogich wątłych, anemicznych wegetują w najsmutniejszych warunkach hygienicznych, bez wzmacniającego pożywienia, bez czystego powietrza, bez tych ożywczych, duszę i ciało pokrzepiających wrażeń, jakie nam daje obcowanie z przyrodą. Dla takiego dziecka pobyt kilkutygodniowy na wsi, codziennie dobre mleko w większej ilości, świeże owoce wprost z ogrodu, widok zwierząt i ptaków domowych, który tak zachwyca umysł dziecięcy, — są nieocenionem dobrodziejstwem.

A obok materyalnych i fizycznych korzyści pobyt na wsi w warunkach normalnych i zdrowych może przynieść nieobliczony w skutkach pożytek dla dusz tych dzieci, marniejących w mętach wielkomiejskich stosunków.

Tyle młodych panienek, młodzieńców bawiących na wakacyach u rodziny, mogłoby choć odrobinę czasu i trudu poświęcić tym upośledzonym, to ucząc je, to zachęcając do czytania dobrej książki lub wykonywania pracy jakiej w polu lub ogrodzie, która przez to samo, że jest czemś nowem dla dziecka z miasta, jest mu przyjemnością. — Zajęcie tak szlachetne — i zapewniam was, kochane panienki, wcale nie trudne, ani męczące!

Ani przeczuwacie, ile taka praca daje wewnętrznego zadowolenia, jak widocznemi są jej dodatnie rezultaty. — Spróbujcie, szanowne panie i panienki, które narzekacie na nudy wiejskie, wzdychacie do nowych wrażeń, gonicie za sensacyę! Zaręczamy, że żadna z Was rozpocząwszy tego rodzaju pracę nad jednem choćby dzieckiem z ochotą zechce ją podjąć w dalszym ciągu corocznie. Chodzi tu przecie o wcielenie zasad miłości chrześciańskiej w najwięcej idealnej formie — a zarazem spełnienie obywatelskiego czynu w najpiękniejszem znaczeniu.

Polka.

I cóż wy na to — dobrodzieje i dobrodziejki?..........

Z zaboru rosyjskiego.

(Własna korespondencya „Pracy".)

Warszawa, 3 lipca 1906.

W dniu 25-go zeszłego miesiąca zakończoną została kampania wyborcza w Królestwie Polskiem; w dniu tym odbyły się ostateczne wybory posłów w ziemi płockiej.

Jakim sposobem się stało, że Płock tak późno wysłał swych posłów do Izby — jest to jedną z tajemnic admi-

— Co? dla nich?! Tak pan rozumiesz!? Smiej się z dobrodziejstw, nie znasz Polaków!?...

I wykładał dalej swój plan piekielny:

— Trzeba znać szlachtę polską! To są lekkoduchy, marnotrawcy, utracyusze, hulaki! Zobaczysz pan, jak zwabieni nizkim procentem, rzucą się zaraz po te sumy do banków, aby je czemprędzej strwonić na zbytkach i hulatykach! Czy pan rozumie?...

I jeszcze z przyjemnością powtórzył sobie myśl swoją:

— Tak jest, niedługo czekać, narobią oni lekkomyślnych długów w naszych bankach i kasach! Naturalnie nie będą mogli ich oddać, a my zabierzemy za te długi ich ziemie i oddamy je Niemcom!... To się nazywa plan!

Niestety bolesne dla nas te słowa Hoyma miały się wkrótce częściowo spełnić. Szlachta bowiem, rozhulana jeszcze od czasów saskich, w lichych szkołach jezuickich nie wykształciwszy się poważnie i nie wyrobiwszy sobie silnego charakteru, a do tego teraz zubożała, łatwo poszła na ten szatański lep Hoyma.[4])

Tymczasem po kraju szerzyć się poczęły niszczące pożary. Zrazu pojawiły się tylko gdzieniegdzie po miastach i wsiach, potem wynikały coraz częściej, tak jakoś dziwnie, jakby umyślnie podłożone i powtarzały się przez lat kilka niszcząc całe miasta i wsi.

— Co to jest?! — wołali strapieni ludzie — co znaczą te kilkoletnie pożary?!... Spłonęły już Sieradz, Warta, Zagorów, Sroda, Rawicz!...

— Ha, ogień, dopust Boży, nieostrożność! — odpowiadali inni. — Świecą też zgliszczami pożarów Wschowa, Kłodawa, Widawa, nawet Poznań!

— Ej, kto wie, czy nie umyślnie przez wrogów naszych szerzone te ognie, aby nas zniszczyć, wytępić?!...

— I to być może, choć przyczyna nie wyjaśniona! — Lecz za cóż jeszcze taką karę zsyła na nas Bóg Sprawiedliwy?

— Nie było tego dawniej, nie słyszano o podpalaczach takich, coby całe palili miasta i wsie, którzyby, tak jak dziś, rozsyłali tak straszne listy, żądające znacznego okupu a grożące pożogą i morderstwem!

(Ciąg dalszy nastąpi).

[4]) Brali też znaczne pożyczki i kupowali tanio dobra polskie bogaci cudzoziemcy, sprowadzając za to do kraju kolonistów niemieckich. Tak bogaty książę Oranii otrzymał 50,000 talarów na kupno dóbr Racota od książąt Jabłonowskich, a za to sprowadził tam 2500 Niemców. — Moraw. VI, 8.

nistracyi miejscowej. 40-stu wybranych już dawno walmanów niemal jednogłośnie wybrało na posłów upatrzonych z góry pp. Macieszę i Chełchowskiego (nazwiska ich wymieniałem przed kilku tygodniami). Obaj posłowie płoccy nietylko, jak prawie wszyscy inni, należą do stronnictwa demokracyi narodowej, lecz są najwybitniejszymi jej przedstawicielami. Poseł Chełchowski, ziemianin wzorowy, ekonomista i działacz społeczny, jest na równi z Parczewskim kandydatem do stanowiska prezesa Koła Polskiego. Jest prezesem tow. rolniczego w gubernii, która w zażartej walce z rządem o język w sądzie, szkole i gminie najbardziej głośną odegrała rolę.

Twierdza w Modlinie i więzienia w Płocku i Mławie zapełniły się opornymi sędziami, wójtami i pisarzami gminnymi. Opustoszały sądy i urzędy gminne, a na ludność puszczono kozaków i dragonów. Położenie zaś uwięzionych było bez wyjścia, wobec srożącego się w kraju stanu wojennego. Chełchowski swym wpływem dotarł do więźniów i skłonił ich do wyrzeczenia się części stawianych żądań. Wójci zobowiązali się przywrócić w urzędowaniu z władzami język rosyjski, a polski utrzymać tylko w wewnętrznem urzędowaniu gminy (o co głównie idzie) i opuścili niezwłocznie mury więzienne, z warunkiem powrócenia w nie w razie, gdyby ludność ich kroku nie pochwaliła. Wystąpienie w tej sprawie Chełchowskiego, noszące bądź co bądź charakter kompromisu, ustępstwa ze stawianych przez ludność żądań narodowych, spotkało się z ostrą krytyką radykalnych czasopism naszych i galicyjskich. Posłużyło prócz tego na powód do oszczerczego twierdzenia, że D. N. kwituje ze swej polityki gminnej, czemu stronnictwo zaprzeczyło niezwłocznie. Bądź co bądź p. S. Chełchowski po fakcie tym stracił nieco na popularności — prezesem Koła zostanie zapewne poseł Parczewski.

Drugi poseł płocki — dr. Al. Maciesza, jest nader czynnym działaczem społecznym, kierownikiem wielu instytucyi miejscowych. Jest synem wygnańców syberyjskich z roku 63-go; urodzony w Syberyi, zamieszkiwał czas dłuższy w Rosyi, gdzie zyskał sławę lekarską; skorzystał z pierwszej okazyi, by wrócić do kraju, gdzie zamieszkuje od roku 1900; w przeciągu tak krótkiego czasu zdobył powszechny szacunek i miłość współobywateli, czego dowody najwyższe dzisiaj otrzymał.

Obaj posłowie płoccy, zarówno jak większość przedstawicieli Królestwa, są to ludzie młodzi, po lat 40 niespełna liczący. Ich wyjazd do Petersburga odbył się z wielką uroczystością. Wstępują naturalnie do Koła Polskiego, tak jednolitego przekonaniowo, jak żadna inna partya parlamentarna. Od chwili otwarcia Izby mija już 7 tygodni i dotąd najmniejsza chmurka nie zaciemniła wewnętrznej harmonii, solidarności przedstawicielstwa naszego. Z największym naciskiem podnoszę zwłaszcza zupełną jednomyślność poglądów posłów ludowych z resztą Koła, z czego możemy być dumni wobec Galicyi n. p.

Wogóle jednomyślność włościan polskich z inteligencyą narodową zauważyć się daje powszechnie. Stanowi ona istny tryumf idei naszej narodowej, demokratycznej. Świadczą o tem listy i telegramy włościańskie, nadsyłane do Koła Polskiego ze wszystkich okolic kraju. W tych listach włościanie nasi nie tylko protestują stanowczo przeciwko upaństwowieniu ziemi, ale nie wspominają nawet o wywłaszczeniu majątków większych. Natomiast żądanie szkoły polskiej oraz autonomii Królestwa w tych odezwach ludowych powtarza się ustawicznie. Kwestya rolna zdaniem ludu, rozstrzygniętą być winna przez sejm w Warszawie w sensie stworzenia taniego, długoterminowego kredytu rolnego i podniesienia oświaty ogólnej i zawodowej. Jak widzimy, między inteligencyą a ludem w Królestwie panuje zupełna jedność poglądów na najważniejsze zagadnienia polityczne i społeczne chwili bieżącej. Blizki więc jest „cud.“

„Jeden tylko, jeden cud,
Z szlachtą polską polski lud.
Dusza żywa, z żywem ciałem
Zespojone świętym szałem;
Z tego ślubu jeden duch.
Wielki naród polski sam,
Jedna wola, jeden ruch,
O! zbawienie tylko — tam!“

Opinia publiczna polska ma prawo być najzupełniej zadowoloną z petersburskiego przedstawicielstwa naszego. Wszystkie dotychczasowe wystąpienia Koła (z wyjątkiem może jednego niezbyt udatnego wystąpienia posła Nowodworskiego) zasługują na uznanie, którego nie odmawia Kołu nawet wybitny przedstawiciel demokratów postępowych — poseł Lednicki. I jego zdaniem „Koło niczem nie sprzeniewierzyło się wielkim hasłom demokracyi, postępu i wolności powszechnej i popierało gorąco wszelkie przedłożenia wolnościowe.“ Jest to odpowiedź na zarzuty kadetów i pedeków, tyczących się charakteru Koła.

Mnożą się głosy, protestujące przeciwko wyodrębnianiu się posłów litewsko-ruskich od Koła Polskiego. Tworzą oni osobne koło terytoryalne, rozbite w dodatku na dwie luźne grupy: posłów z Litwy i posłów z Rusi. Pierwsza ta grupa liczy 13-tu, druga — 8-miu Polaków. Rzecz prosta, że przy rozdrobnieniu takiem Polacy z krajów zabranych nie mogą wiele zaważyć na losach parlamentarnych. Ich seperatyzm i jakiś lokalny patryotyzm piętnuje surowo najpoważniejszy organ tamtejszy polski — „Dziennik Kijowski,“ którego redaktor, poseł hr. W. Grocholski nie należy do organizacyi „terytoryalnej.“

Według obowiązującej obecnie konstytucyi rosyjskiej, prawem stać się mogą jedynie wnioski, uchwalone przez Izbę i przez Radę państwa. Charakter ostatniej tej instytucyi budził poważne obawy, a to ze względu na jej skład osobisty: Rada państwa się składa z 98-miu posłów obieralnych przez szlachtę i koła handlowo-przemysłowe i tyluż mianowanych przez cesarza z pośród wyższych dostojników państwowych, b. ministrów i generałów. Z góry więc określony jest reakcyjny charakter Rady i jej wrogi stosunek względem przedłożeń wolnościowych. Rzeczywistość jednak dowodzi, że poważna większość Rady bynajmniej wrogą nie jest reformom konstytucyjnym. Świeżo utworzone w Radzie stronnictwo „centrum,“ liczące 100 z górą członków, w programie swoim idzie dosyć daleko, żądając istotnych zmian zasadniczych państwowych i równouprawnienia narodowego. Do „Centrum“ należą wszyscy polscy posłowie w liczbie 17-stu (8-miu z Królestwa i 9-ciu z krajów zabranych), tworząc pod przewodnictwem pp. Woyniłłowicza i Ostrowskiego klub wspólny, związany zasadą solidarności.

Środowisko, w którem wypadnie nam walczyć o najważniejsze narodowe zadania nasze, na ogół nie jest dla sprawy polskiej usposobione wrogo. Autonomię w Izbie przeprowadzimy napewno — przynajmniej takie wrażenie odniósł jeden z korespondentów warszawskich z rozmowy z prezesem klubu włościańskiego w Izbie, posłem Aladinem.

Poprze ją (acz w formie okrojonej) jego „grupa pracy,“ najliczniejsze po kadetach stronnictwo (120 członków), dotychczas idące jeszcze ręka w rękę z nimi, lecz coraz bardziej dążące do rozłamu. Kadeci też zapewniają, że uchwał dawniejszych w sprawie autonomii Królestwa bynajmniej się nie wyrzekli, a urzędowy ich organ „Rieczʻ“ zamieścił w tej sprawie znamienny artykuł. Wszystko rozbija się tylko o opór rządu wstąpienia szczerze na drogę konstytucyjną.

Gabinet Goremykina pomimo wyrażenia mu przez Izbę nieufności pozostaje nadal u władzy, a pojedyńczy ministrowie spokojnie znoszą ustawiczne szykany i wstręty, jakie im robi skrajna lewica. Utrzymujące się przez cały tydzień uporczywe pogłoski o powołaniu do steru gabinetu kadeckiego z obecnym prezesem Izby Muromcewem na czele, lub przynajmniej gabinetu „mieszanego“ z biurokratów i działaczów społecznych — doczekały się zaprzeczenia ze strony prasy półurzędowej.

Nic nie wskazuje, by rząd dzisiejszy zdawał sobie sprawę z grozy położenia, pomimo, że nie brak objawów, wskazujących, iż Rosya znajduje się w przededniu groźnego a powszechnego wybuchu. W stolicach się odbywają liczne mityngi rewolucyjno-robotnicze, w armii wrzenie przybiera coraz to większe rozmiary, w Sewastopolu bunt wojskowy z trudem został stłumiony. Minister wojny miał się wyrazić, że na jesieni oczekiwać należy rozruchów poważnych w armii. Dziś już w powietrzu wznoszą się zapowiedzi powszechnego strejku kolejowego, a ruchy rolne wybuchają w coraz to innych guberniach caratu, grożąc opanowaniem państwa całego. Na terytoryum Finlandyi odbył się tłumny wiec rewolucyonistów rossyjskich, z udziałem posłów lewicy. W Petersburgu i Moskwie niemal codziennie konfiskują władze po kilka dzienników opozycyjnych, a represye prasowe, kary, więzienia i t. d. spadają w ilości niebywałej od czasów grudniowych.

Na stosowane w Królestwie represye prasowe zwracał uwagę Izby poseł Parczewski, przyłączając się do protestu Izby w tej sprawie.

Sarmata.

Korespondencya z Galicyi

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Lwów, 2 lipca.

(Jeszcze o nienawiści Rusinów do Polaków. Radykali ruscy. Organizacya „Siczy“. Jej występy różne. Napad na Sokołów w Skolem).

Pisałem w poprzednim liście, że Rusini pałają do nas niczem nie pohamowaną nienawiścią. Wypadki nie dały długo na siebie czekać i przyniosły wkrótce dowód na to, że nienawiści tej my nie podzielamy, lecz owszem przeciwnie jesteśmy tylko jej przedmiotem.

Wśród różnych partyi ruskich wybitną rolę grała do niedawna partya radykałów. Założyli ją między innymi sławny *Iwan Franko,* który za to, że nie dostał profesury na uniwersytecie lwowskim, zemścił się na Polakach w ten sposób, iż przedstawił Mickiewicza w pismach niemieckich, wiedeńskich, jako poetę, co zdradę sławi. Drugim z założycieli był *Cyryl Trylowski,* adwokat mieszkający w Kołomyi, którego wykształciły różne polskie organizacye s[illegible]ckie.

Programem politycznym tej partyi, która się rozleciała umieściwszy część swych członków w obozie socyalistycznym ruskim, był program socyalistyczny. Uważali się jednak oni za czystych narodowców, podobnie jak u Czechów radykali, którym Klofacz przewodzi. Odznaczali się wielką nienawiścią do księży ruskich, którzy mając liczne rodziny a nie wielkie dochody, chłopa ruskiego drą bez miłosierdzia. Na równi z księżmi postawili żydów i szlachciców polskich.

Partya jak wspomniałem rozleciała się, bo chociaż tamtego roku miała zjazd i zorganizowano ją na nowo, jednak nie istnieje właściwie, zwłaszcza, gdy umarł najdawniejszy jej twórca Pawlisz. Natomiast została widoma jej czynność i praca. Rozumieli oni dobrze, że trzeba przedewszystkiem organizować chłopa ruskiego, bo bez organizacyi silnej a przystępnej do jego niewykształconego mózgu, cały program choć tak odpowiedni jego naturze, na nic się nie przyda. Wzór wzięto od Polaków. Polacy mają ochotnicze straże pożarne, mają sokołów, umieją około szlachetnych celów skupiać ludzi. Rusini wzięli więc od nich cele, sposoby, ale nie dali organizacyom uczciwej dążności. Zaczęli więc tworzyć po wsiach „Sicze.“ Ustawy tych stowarzyszeń mówią, że są one strażackiemi stowarzyszeniami, mają szerzyć poczucie solidarności między ludem, zamiłowanie do gier i zabaw ludowych, uczą wstrzemięźliwości od napoi gorących, oszczędności itd. Słowem są to towarzystwa, które ze względu na cel określony ustawą zasługują na zupełne poparcie. Nazwa ich wzięta z kozaczczyzny. Kozacką też i organizacyę mają. Rządzą nimi „atamani“ i „koszowi“ tak jak to było kiedyś w zaporoskiej kozaczczyznie. Sami chętnie nazywają się Kozakami.

Niezrównanym i niezmordowanym organizatorem, patronem, agitatorem i orędownikiem okazał się wspomniany Trylowski. Człowieka tego można było widzieć bezprzestannie to między Hucułami w Żabiowskiem, gdzie ma, jak w ogóle w całej galicyjskiej Czarnohorze, najsilniejsze posterunki, to na dolinach Prutu w Śniatyńszczyźnie, to na wyżynie podolskiej w okolicach Horodenki a nieobce mu niziny na północy kraju w Sokalszczyźnie i lasy karpackie w okolicy Skolego. Do niedawna organizował te towarzystwa sam. Dziś ma wyrobiony spory zastęp młodych ludzi, którzy tę czynność wykonują może i nie całkiem po jego myśli. Urządzał liczne popisy „Siczy“ składające się przeważnie dotąd z marszy i zabaw ludowych. Zaprodukował przed dwoma laty wielki popis gimnastyczny w Stanisławowie, na którym wykonywano dużo zabaw ludowych, rodzaj igrzysk, ujętych w pewien system. Częste zebrania urządza w Kolomyi maszerując po ulicach miasta z toporkiem huculskim w ręce, otoczony nieraz setką Hucułów. Do „Siczy“ należą przeważnie ludzie młodzi.

Cel tych stowarzyszeń jest, jak wspomniałem, według ich ustawy prawie humanitarny ale tylko w ustawie. Już samo występowanie przeciw księżom, dotychczasowym kierownikom ludu ruskiego i jego właściwym przedstawicielem urzędowym jest wysoce niebezpieczne w obec zupełnego prawie braku nawet początkowego wykształcenia. Okazało się to niezbicie w sławnej awanturze w Załuczu koło Śniatyna. Członkowie „Siczy“ nie chcieli dopuścić do wsi księdza, który dostał tam probostwo. Zamknęli cerkiew, zrewoltowali nawet kobiety, w końcu ogłosili, że nie należą do cerkwi, ale przechodzą na szyzmę. W czasie kiedy ksiądz wprowadzony siłą zbrojną odprawiał nabożeństwo, „Siczowyki“ urządzali w karczmie huczne zabawy, pijatyki, nie rzadko bitki. Nic pomogło nic i ksiądz musiał ustąpić.

Rzucenie hasła, że przyczyną ich biedy i nędzy są żydzi, okazało się jeszcze niebezpieczniejsze. Prawda, że dziś u bogatych dawniej Hucułów, którzy czerwieńce (dukaty) na garnce liczyli, bieda, prawda, że biedę na ten dobroduszny w gruncie rzeczy lud sprowadził chytry żyd. Jednak rzucanie ich na żydów wywołało przed dwoma laty tylko wielką awanturę w Żabiu i Kutach, która w skutek szybkiej interwencyi władz nie skończyła się pogromem żydów, ale położenia Hucułów nie polepszyła, owszem wobec chytrego żyda pogorszyła. W strejkach przed trzema laty rej wodzili również „Siczowyki“.

Jednak można było liczyć na to, że ruch ten z czasem się ułoży i wyjdzie na korzyść Rusinów bez szkody polskiej. Dopiero wielka agitacya wywołana reformą wyborczą popsuła wszystko. Ogarnęła przedewszystkiem „Sicze“ i stworzyła z nich najsilniejszą i najbardziej niebezpieczną dla żywio-

łu polskiego armię. Dziś „Sicze“ opanowała rzesza młodocianych a bezwzględnych agitatorów, siejąc w ten lud skłonny z natury do nienawiści gęsto hasła walki bezwzględnej ze wszystkiem co polskie, nie wyjmując i chłopa polskiego! Zajście w Lackiem, gdzie po wiecu ruskim „Siczowyki“ zaczepili wojsko i doprowadzili do strzelania (siedem osób zginęło) poucza, że dziś nie cofną się agitatorzy w prowadzeniu tej walki przed niczem. Najświeższe zajście w *Skolem* potwierdziło to domniemanie.

Lwowski Sokól urządził 24 czerwca wycieczkę do miasteczka Skolego położonego w górach. Celem tej wycieczki było dodanie otuchy niedawno założonemu gniazdu. Przygotowano też ćwiczenia publiczne a Sokoli ze Skolego urządzili przy pomocy Lwowian miejsce do ćwiczeń, przystroili je i zbudowali bramę przy wejściu do miasta dla przyjęcia gości. Sokoli zachowali się przy tem jak zawsze spokojnie i wzorowo. „Siczowyki“ wychodząc ze założenia, że to ruska ziemia i nie wolno na niej żyć Polakom, uchwalili pod wpływem swych przywódców, do których po cichu dzisiaj należą już i urzędnicy sędziowscy i księża a wysuwają naprzód różnych młodych ludzi, nie dopuścić do tej zabawy. Postanowienie to wykonali w ten sposób, że w nocy z soboty na niedzielę bramę przy wejściu podpiłowali licząc, że pod naporem zebranych zwali się i pokaleczy lub pozabija znienawidzonych lachów Na boisko wpadli z dwóch stron, zniszczyli wszystko łamiąc ogrodzenia i rąbiąc ławki i wszystkie ozdoby. Nie dość na tem. Zamordowali człowieka postawionego przy bramie dla pilnowania, który im oporu stawić nie mógł, ale który mógł rabusiów zdradzić. Śledztwo sądowe wykaże szczegóły. Dziś już jednak można z całą powagą twierdzić, że napad był uplanowany a tylko nagle powstałemu wiatrowi można zawdzięczać, że podpiłowana brama w czas runęła i nie spowodowała w czasie powitania gości żadnego nieszczęścia.

Trudno bardzo ustrzedz się, aby nie wypowiedzieć tego wszystkiego co się ciśnie na usta w obec tego najświeższego dowodu zdziczenia znacznej części ruskiego społeczeństwa. To przechodzi już nawet granice namiętności wywołanej rzekomą walką. Czyn ten ruski, objaśniony stwierdzeniem, że w ogóle ze strony polskiej w Galicyi Rusini nie doznali żadnego aktu gwałtownego, a już niedopuszczalnem jest, aby mogli o to oskarżać te sfery, które stanowią sokolstwo, niech służy za dowód, jeden więcej, że nienawiść istnieje, ale tylko u Rusinów do Polaków. My ich za to nie znienawidzimy ani nawet nie potępimy, my ich żałujemy głęboko z powodu ich obłąkania.

Tym wszystkim, którzy w r. 1903 byli świadkami wspaniałego zlotu sokolego we Lwowie, który poświadczył już nie o naszej mocy, ale o naszej serdeczności, przypomnę tutaj, że ruski „Sokół“ na zaproszenie do wzięcia udziału odpowiedział, że nie może wziąć udziału w polskiej manifestacyi na ruskiej ziemi. Zdumieliśmy się tą odpowiedzią i nie wiedzieliśmy, czy ją podyktowała zarozumiałość czy głupota. Dziś wiemy, że uczyniła to nienawiść, jaką żywi zawsze słaby a nieszlachetny do mocnego a dobrotliwego. *Bes.*

Szkice z Rosyi.

V.

Miesiące następujące po ogłoszeniu manifestu 30 października należą do najciemniejszych i najsmutniejszych epok historyi rosyjskiej. Wiadomo, co się działo w Odesie, Warszawie, Kijowie, Moskwie i Rydze. Nie będę się zatrzymywał nad opisem tych haniebnych i wstrętnych epizodów. — Gdy późniejsze pokolenia, zrodzone w atmosferze obywatelskiej wolności i oświaty, przejrzą tę haniebną kartę historyi, wtenczas miotać niemi będą wszelkie uczucia oburzenia i wstydu.

Z tą epoką najstraszniejszej reakcyi na wieki związane jest nazwisko Wittego. Mówiono o nim, że miał on jak najlepsze chęci i zamiary, że jednak wpływ ministra spraw wewnętrznych Durnowa nie pozwalał mu działać somodzielnie. Jest to złudzeniem i omyłką. Jeżeli Witte był rzeczywiście tem, czem być udawał przed całym światem, t. j. ministrem liberalnym i pragnącym szczerze i otwarcie odrodzenia ojczyzny na drodze prawdziwych reform, to w jego położeniu pozostawało mu tylko jedyne wyjście, jedyny środek, t. j. dymisya. Witte jednakże o niej nie myślał. Sypał on piaskiem w oczy opinii całego narodu, umizgał się do partyi liberalnej, a jednocześnie pozwalał na to, że więzienia i kazamaty forteczne zapełniały się tysiącami ofiar niewinnych. Witte jest jedną z najwstrętniejszych figur biurokracyi rosyjskiej. — Gdy cesarz uszczęśliwił go tytułem hrabiego, wtenczas żona jego z pochodzenia żydówka, przyjęła prawosławie. Fakt ten zdyskredytował go w oczach każdego porządnego człowieka. Na wszelkie zapytania i interpelacye ze strony domagającego się swych praw społeczeństwa, Witte zwykł był odpowiadać: „Ja wiem, jak zbawić Rosyę!“ Na nieszczęście, Witte tego sekretu nikomu nie wydał i zejdzie on z nim prawdopodobnie do grobu.

Z początku oczekiwano zebrania się Dumy w styczniu r. b. Przy niesłychanem niedołęstwie i zwlekaniu każdej ważnej sprawy całej administratywnej maszyny, o tem jednakże mowy być nie mogło. Na chwilę nawet przestano wierzyć w rzeczywisty zamiar rządu zwołania Dumy. Tymczasem wybory po wszystkich większych miastach, pomimo przeszkód stawianych skrycie i otwarcie przez policyę i administracyę, wydały rezultat zupełnie nieoczekiwany. Partya konstytucyjnych demokratów, nazywająca się w skróceniu kadetami (k. d.) odniosła świetne zwycięstwo na całej linii. — Wszystkie większe miasta bez wyjątku ogromną większością wybrały członków tej partyi. Oprócz tego wiejskie gminy, na które rząd liczył z pewnością, że wybiorą ludzi, t. zw. prawego porządku, wybrały 129 włościan, którzy napisali na swą chorągiew śmiałe hasło: „ziemla‘ i wóla„ t.. j.. ziemia i wolność. Włościanie ci, o kierunku stanowczo rewolucyjnym tworzą razem z partyą kadetów zupełną przewagę w pierwszym parlamencie rosyjskim.

Nadszedł nareszcie przez miliony tak gorąco oczekiwany i upragniony dzień 10 maja, dzień na wszystkie wieki pamiętny i zapisany złotemi głoskami w historyi rosyjskiego narodu. — Słońce świeciło przejrzystym porannym blaskiem nad grodem św. Piotra, nad którym jaśniało czyste, bezchmurne niebo. Na Newie panował niezwykły spokój i cisza. Nie słychać było zwykłych świstów niezliczonych parostatków, ponieważ w oczekiwaniu przyjazdu cesarza i jego świty z Peterhofu cały ruch na rzece wskutek rozporządzenia policyi ustał. Tak samo majestatyczne mosty, sklepiące się nad sinemi falami tej wspaniałej rzeki, były zupełnie opustoszałe. Wogóle dostęp do zimowego pałacu na ogromnej przestrzeni zagrodzony był ścisłym łańcuchem wojska i żandarmeryi, co wywierało wrażenie dziwne i przygnębiające. Natomiast ulice pozawieszane były chorągwiami, a poselstwa wszystkich państw europejskich i innych powitały pamiętny ten dzień wytknięciem swoich barw narodowych, powiewających wesoło w lekkim podmuchu porannego wiatru. Miasto przedstawiało widok nad wyraz uroczysty i wspaniały.

Około 11-tej z rana cesarz z małżonką, matką i wielką świtą przybył morzem na przystań na ten cel przygoto-

waną i udał się niezwłocznie pieszo do zimowego pałacu, gdzie metropolita petersburski zacelebrował solenną mszę w kapiącej złotem kaplicy.

Tymczasem ulicą morską i niewskim prospektem zaczęli się zjeżdżać wszyscy dygnitarze wojskowi i cywilni z damami w staroruskim stroju. — Równocześnie w skromnych dorożkach przybywali wybrańcy narodu, z zatkniętemi na cylindrach lub zwykłych kapeluszach zielonemi biletami, zapewniającemi im wejście do pałacu. — Około 1-szej z południa w ogromnej sali św. Grzegorza zgromadziło się około 450 deputowanych, członkowie wybrani i mianowani rady państwowej i cała ćma wysokich dygnitarzy w błyszczących mundurach. W ogromnych kryształowych lustrach przepysznej sali po raz pierwszy odbiły się postacie kmieciów w płóciennych siermięgach. Nadeszła chwila uroczysta, nastała cisza, w której możnaby dosłyszeć brzęczenie przelatającej muchy. Cesarz zasiadł na tronie, a u podnóża stali wielcy książęta. W tej chwili serca 130 milionów i oczy całego cywilizowanego świata zwrócone były ku temu uroczystemu zebraniu. Cesarz wstał z tronu, obnażył głowę i głosem donośnym przeczytał podaną mu przez marszałka ceremonii mowę, w której witał wybranych narodu, nazywając ich „ludźmi najlepszymi“. Na moment wszyscy zapomnieli o męczarniach wycierpianych, o krwi niezliczonych ofiar, o dziesiątkach tysięcy ślęczących w ciemnicach więzień i po mowie cesarza z tysiąca piersi wyrwało się grzmiące „hura“, trzęsące marmurowemi kolumnami wspaniałego pałacu. Potem cesarz zszedł z tronu i z małżonką i świtą opuścił salę, przechodząc około szeregu deputowanych i ciekawie się w nich wpatrując. Kilku wybranych powitało go ponownem hura, podczas gdy większość milcząc tylko się kłaniała.

Na tem zakończyła się ta ważna w dziejach świata ceremonia. Niezwłocznie deputowani zaczęli wychodzić na ulicę, by udać się do taurydzkiego pałacu, miejsca posiedzeń. Zgromadzony tłum powitał ich tu jednogłośnym okrzykiem: amnestya, amnestya! Deputowanego Rodziczewa, znanego powszechnie z swej chlubnej działalności, publiczność pochwyciła i na rękach uniosła. Część deputowanych udała się parostatkiem na Newie do miejsca posiedzeń, a gdy na nieustające okrzyki publiczności, zgromadzonej na brzegu i wołającej: amnestyi, żądajcie amnestyi!, deputowani zaczęli powiewać czerwonemi chustkami, wtenczas zapał doszedł do prawdziwego paroksyzmu i tysiące rąk wyciągnęło się ku odjeżdżającym. Gdy parostatek przejeżdżał około fortecy św. Piotra i Pawła, z za krat kazamatów wyciągały się ku niemu błagające ręce!

O 4-tej po południu zaczęło się pierwsze posiedzenie pierwszego rosyjskiego parlamentu.

Seweryn G.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przegląd prasy.

Zwycięstwo p. Napieralskiego w okręgu Bytomsko-tarnogórskim wciąż jeszcze jest przedmiotem dyskusyi w prasie naszej i niemieckiej.

Nasze pisma po pierwszym wybuchu radości powróciły do celowej i świadomej, a spokojnej pracy oświatowej — centrowe i hakatystyczne nie przestają zrzucać na siebie winy poniesionej porażki. W polemiki te wdawać się nie myślimy, mamy sobie jednakże za obowiązek zwrócić uwagę na korespondencyą pochodzącą z zaboru pruskiego, a umieszczoną w krakowskiej *„Nowej Reformie“*. Krosepondencya ta nie tylko rzuca odpowiadające rzeczywistości światło na nasze stosunki wyborcze wogóle, ale stawia także i pewne horoskopy na przyszłość.

Stwierdziwszy fakt, że przez wybór posła Napieralskiego liczba posłów naszych ponownie wzrosła do 16, pisze *„Nowa Reforma“* tak:

„Czy tylko tylu ich mieć możemy z powszechnych wyborów do parlamentu? Nie, możemy i powinniśmy ich mieć *znacznie więcej*. Obecna ich liczba, biorąc w rachubę stosunek liczby posłów do liczby ludności w Niemczech wogóle, nie odpowiada ogólnej przeciętnej. Cesarstwo niemieckie liczy obecnie przeszło 60 milionów mieszkańców, a parlament niemiecki 397 posłów. Jeden poseł przypada więc mniej więcej na 150 000 mieszkańców. Ludności polskiej jest w obrębie granic rzeszy niemieckiej przeszło 3 i pół miliona, a zatem jeden poseł polski przypada dopiero na 220 000 polskich mieszkańców. Przyczyny tego niepomyślnego dla nas stanu są rozmaite. Jedna z nich, może najgłówniejsza, jest liczne nasze wychodźtwo w głąb Niemiec

„Wychodźcami są przeważnie dorośli robotnicy, a więc wyborcy. — Rozpraszają się oni po całych Niemczech i wszędzie stanowią mniejszość, nawet w Westfalii i w prowincyi Nadreńskiej, chociaż tam liczba Polaków dochodzi do 200 000. Tam więc o przeprowadzeniu polskich kandydatów ani myśleć nie mogą, w dzielnicach polskich zaś, w niektórych okręgach, przez to wychodźtwo liczba polskich wyborców również spada do mniejszości.

„Zupełnie dla nas pewnych okręgów mamy w Księstwie 11, w Prusach Zachodnich 3 — razem 14 okręgów„ w których przy sprzyjających okolicznościach zwycięstwo dla nas jest możliwe, liczy Księstwo 2, Prusy Zachodnie 3; z tych dwóch dzielnic więc moglibyśmy w najlepszym razie przeprowadzić 18 do 19 posłów i tylu ich też niekiedy wysyłaliśmy do Berlina.

„A teraz co do Śląska. Mimo pięciowiekowej geramanizacyi tej dzielnicy stosunki narodowościowe przedstawiają się tam dla nas bardzo korzystnie. Absolutną większość polską mamy w 7 okręgach wyborczych, a mianowicie: w Katowicko-Zabrskim, w Bytomsko-Tarnogórskim, w Rybnicko-Pszczyńskim, w Kozielsko-Strzeleckim, w Gliwickim, w Opolskim i Prudnickim. W sześciu pierwszych większość polska wynosi 70 do 95 procent, w ostatnim 50 do 60 procent. Okręg Raciborski posiada większość słowiańską, ale nie polską. Na 100,000 słowiańskiej ludności tamtejszej jest 40,000 Polaków, a 60,000 Morawian (Czechów) narodowo wcale jeszcze nie rozbudzonych.

„A zatem, licząc tylko pewne okręgi, Koło polskie dojść może łatwo do 20, przy sprzyjających okolicznościach nawet do 23 lub 24 członków.

„Daleko niekorzystniej przedstawia się dla nas sprawa wyborów do sejmu pruskiego, odbywających się na podstawie trzyklasowego jawnego systemu, dającego ogromną przewagę warstwom zamożniejszym nad masą ludu. Okręgów przy tym wyborze zupełnie pewnych dla nas mamy w Księstwie zaledwie kilka, a fakt, że mimo to Koło sejmowe liczy jeszcze 15 (tylko 13. Red. „Pracy.“) członków, zawdzięczamy tylko tej okoliczności, iż niektóre z tych pewnych dla nas okręgów wybierają po dwóch lub trzech posłów.

„Do sejmu też na Śląsku, gdzie ludność polska składa się przeważnie ze sfer włościańskich i robotniczych, trudno będzie wybrać polskich posłów o własnych siłach. Tu skazani będziemy na kompromisy, i to głównie ze stronnictwem centrum. Stronnictwo to obecnie wprawdzie wskutek poniesionych klęsk przy wyborach, bardzo się dąsa na Polaków; z czasem jednakże może we własnym interesie zmieni swoją taktykę, zwłaszcza gdy się przekona, że bez pomocy Polaków stracić może wszystkie swoje sejmowe mandaty na Śląsku na rzecz stronnictw rządowych.“

Podaliśmy najciekawsze z korespondencyi wzmiankowanej uwagi i zaznaczyć musimy, że godzimy się na nie w zupełności.

Przebija z nich jedno mianowicie, to, że polskość pomimo wrogiej polityki rządu krok w krok zdobywa na przestrzeni. My się rozszerzamy — możnaby niemal powiedzieć.

To też nie dziw, że centrowcy i hakatyści z powodu tego wzajemnie by

sobie oczy wydrapali. Bo choć centrowcy — jako katolicy — z nami nieraz idą ręka w rękę, nawet bronią nas, to — jako Niemcy — również chcieliby nas zniemczyć. Tylko sposobu chcą innego aniżeli hakatyści.

. . . .

Zwycięstwo górnośląskie silniejszem odezwało się echem nawet w kołach rządowych. Dowodzi tego rozpuszczona w prasie niemieckiej pogłoska, że rząd zmieni względem Polaków swoją politykę. Dowodzi tego tem więcej skwapliwość kół rządowych, z jaką wieść tę odwołują.

Pisze n. p. w sprawie tej półurzędowa *„Deutsche Tages-Zeitung“*, co następuje:

„Zupełnie jest niepojętem, jak mogą znaleść się jeszcze ludzie, którzy rozpuszczają wieści, jakoby rząd chciał zmienić dotychczasowy kierunek w polityce polskiej z powodu wyniku wyborów na Górnym Śląsku.

„Pomijając już to, że z wyniku jednego wyboru nie można przesądzać o dalszych, rzeczą jest wyłącznie centrum ostrzej wziąść się do Polaków wszędzie tam, gdzie pod płaszczykiem religii agitacye swoje szerzą, i bronić energiczniej własnych kandydatów. Kanclerz rzeszy pod żadnym warunkiem dotychczasowego kierunku w polityce polskiej nie zmieni i pod tym względem najzupełniej jest zgodnym z cesarzem.“

Nie będzie więc zmiany. Szczerze powiedziawszy, to nasze nadzieje nie sięgały wcale tak daleko. Czemu? — My wolimy, że zacietrzewieni do ostateczności prześladowcy polskości — jeszcze więcej się skompromitują, gdy ich wysiłki około zgermanizowania Polaków okażą się płonnemi. A kompromitacya ta będzie tem większą, im przyjdzie później.

My się zgermanizować nie damy.

„Straż.“

Z biura „Straży“ następujący otrzymujemy komunikat:

Prośba

Zabierając się do ułożenia i wydawania wykładów popularnych i naukowych, zebrać chcemy obfitszy materyał gotowy. Prosimy zatem wszystkie chętne i życzliwe „Straży“ osoby, które wykłady tego rodzaju wygłaszały i spisywały, aby zechciały je nadesłać sekcyi kulturalnej do wyłącznego użytku.

Pożądane są przedewszystkiem prace mające ogólniejsze cele oświaty na oku: wykłady z historyi nowszych czasów, z hygieny i przyrody, z dziedziny odkryć i wynalazków, z poglądów na kupiectwo i przemysł bez ściśle fachowego charakteru.

Sekcya kulturalna „Straży“ zastrzega sobie przy opłacie stosownego honoraryum dowolny wybór w nadesłanych pracach, które winne napisane być przystępnie, jasno i zwięźle — a obejmować mniej więcej 1 arkusz (16 stron średnich).

Przesyłki adresować należy: Dr. Tadeusz Jaworski, Poznań — Posen.

Sekcya kulturalna „Straży“.

* * *

Wiec „Straży“ na powiat obornicki odbędzie się w *Rogoźnie*, dnia 8-go lipca o godzinie 1-szej w południe w stodole na folwarku p. Świetlika.

Na porządku obrad:

1. Zagajenie i ukonstytuowanie biura.
2. Przemówienie delegata z Poznania.
3. Pauza. Zapisywanie się na członków.
4. Propozycye co do wyboru starosty powiatu.
5. Wolne głosy.

Na wiec ten wszystkich rodaków powiatu obornickiego zapraszają

Stanisław Brykczyński. Świetlik.
Drews. Koczorowski.

* * *

Czuj Duch!
XV. wiec „Straży“

naszego towarzystwa ku obronie spraw ekonomiczno społecznych i katolickich odbędzie się w niedzielę 8-go lipca b. r.

w *Jastrzębiu* Z. Pr.

o 4-tej godzinie po południu, na spichlerzu probostwa p. Bauzy. O liczny udział prosi rodaków z Grążaw — Koziar i t. d. — jako miejscowych i dalszej i bliższej okolicy.

Bolesław Bardzki,
starosta powiatu Brodnickiego.

* * *

* **W Coepenick** (pod Berlinem) odbędzie się wiec „Straży“ dnia 8-go lipca — w niedzielę o godz. 2-giej po południu na wielkiej sali „Kaiserhofu“. Na wiec zapraszają p. K. Krawczyk z Coepenick, komisarz „Straży“ i p. Fr. Krysiak, starosta na Brandenburgię.

* * *

Wiec „Straży“ odbył się w *Czerniejewie* w niedzielę dnia 1-go lipca. Po zagajeniu wieca przez starostę pow. witkowskiego p. Stef. Lubowskiego, wybrano marszałkiem p. Pokrzywnickiego z Małachowa. Na wiecu obecnych było około 400 przeważnie gospodarzy. Czerniejewska inteligencya i obywatelstwo świeciło nieobecnością. Przemawiał p. dr. Jaworski z Poznania o tem, „co to jest narodowa oświata i w czem polega nasza narodowa samoobrona“. Sprzedawczykostwo potępił p. Pokrzywnicki, a patryotyczną mowę wygłosił p. Kostencki. Na członków zapisano się dość licznie.

* * *

Wiec „Straży odbył się *w Grudziądzu.* Zagaił go p. starosta Goncerzewicz — przewodniczył mu p. W. Marchlewski. Pomiędzy p. Goncerzewiczem i Marchlewskim z jednej a p. W. Kulerskim z drugiej strony wywiązała się dość długa dyskusya na temat błędów i wad „Straży“. Skutek tej dyskusyi był ten, że p. Kulerski zgłosił się na kandydata do „Straży“.

* * *

Wiec „Straży“ odbył się dnia 1-go lipca w *Dużych Kruszynach* staraniem ruchliwego starosty powiatu brodnickiego p. Bolesława Bardzkiego z Wichulca. Pan Bardzki w gorących słowach wyjaśnił cel i zadania „Straży“, podniósł, że „Straż“ już niejednokrotnie dała dowód i swojej życzliwości i pożyteczności i prosi o wpisywanie się na członków. Wezwania tego posłuchało 42 obecnych. O położeniu naszem mówił p. Jan Bona z Grudziądza. Hasłem „Czuj duch“ zamknął p. Bardzki czternasty wiec „Straży“ z pow. brodnickiego. Szczęść Boże!......

Ruch w Towarzystwach

Zebranie Zarządu Związku Towarzystw Przemysłowych odbędzie się w sobotę dnia 7 lipca r. b. o godzinie 8½ na salce Domu Przemysłowego.

Cz. Czypicki, prezes. *K. Krajna,* sekretarz.

Zlot „Sokołów.“ VI. zlot okręgu V zachodniego Związku Sokołów polskich w państwie niemieckiem odbędzie się w niedzielę dnia 8-go lipca 1906 na torze wyścigowym w Treptow pod Berlinem.

Program: Rano o godzinie 6 i pół punktualnie zawody jednostek, o godzinie 7-mej generalna próba ćwiczeń zlotowych. Od godziny 2-giej do 3-ciej po południu dalszy ciąg zawodów.

Po południu o godzinie 3-ciej koncert orkiestry druha Zaremby: podczas koncertu wyścigi druhów kołowników.

Punktualnie o godzinie 4-tej początek ćwiczeń zlotowych. Porządek: 1) Pochód ozdobny i ćwiczenia żerdziami okręgu V. 2) Ćwiczenia na przyrządach w zastępach. 3) Gościnny występ „żeńskich Tow. gimn.“, a) ćwiczenia wspólne (rejowe), b) ćwiczenia poszczególnych Tow. 4) Ćwiczenia zastępów wzorowych na przyrządach. 5) Ćwiczenia uczni laskami. 6) Popisy poszczególnych gniazd: a) Hamburg, Grohn, Delmenhorst — laskami; b)

Rixdorf — podpórkami; c) Berlin II. (Moabit) — piramidy; d) Charlottenburg — lancami; e) Berlin I. — maczugami. 7) Wymarsz.

Od godziny 8-mej wieczornica na sali Kellera, przy Koppenstrasse 29.

Licząc na życzliwość wszystkich naszych szan. rodaków dla polskiego sokolstwa, mamy nadzieję, że na zlot nasz podążą jak najliczniej.

Wydział okręgu V. zachod. Związku Sokołów polskich w p. n.

„Wyzwolenie“. W niedzielę, dnia 8-go lipca wycieczka do lasku przy Szelągu. Zbór: ogródki przy ul. Stawnej (wylot M. Garbar) o godzinie 3 i pół po południu. Gościom, przedstawionym przez członków, przystęp dozwolony. O liczny udział prosi

Zarząd.

Dortmund: „Tow. św. Wojciecha“ w Dortmundzie donosi swym członkom, że zebranie odbędzie się w niedzielę dnia 8-go lipca b. r. o godzinie pół do 6-tej w lokalu p. Westerfelda na narożniku Westerholzstr. i Robertstr. Dla bardzo ważnych spraw obecność wszystkich członków konieczna. Goście mile widziani. *Zarząd.*

Wiadomości.

*** W sprawie „Samopomocy“** odbieramy następujące *Oświadczenie.*

Po znanem rozporządzeniu prezesa policyi, wykluczającem panie z Towarzystwa „Samopomoc“, a następnie zatwierdzonem wyrokiem sądu administracyjnego, działalność nasza została niezmiernie ograniczoną.

Zarząd starał się wypełnić zadanie swoje przez to, że zakupywał elementarze i rozdawał je, gdzie tego wykazała się potrzeba, i organizował biblioteczki dla dzieci.

Pomimo to zainteresowanie „Samopomocą“ nieustannie malało. Na walne zebrania członkowie nie przybywali — a w zebraniach Zarządu brało udział nie więcej jak kilku członków.

W tym czasie założoną została „Straż“ i podzielona na poszczególne sekcye. Z sekcyi tych sekcya „kulturalna“ obejmuje między innemi i zadania, jakie swego czasu wytknęła sobie „Samopomoc“.

To dało powód Zarządowi do powzięcia następującej uchwały:

1. rozwiązać Tow. „Samopomoc“.
2. fundusze przeznaczyć
   a) sekcyi kulturalnej „Straży“. t. zw. fundusz imienia Janiny Omańkowskiej, jako fundusz żelazny tegoż imienia. Fundusz ten wynosi marek 1626,52.
   b) Tow. „Warta“ 199,85 marek wraz z procentami.

Wszelkie kwitaryusze i papiery, znajdujące się jeszcze w obiegu, prosimy zwrócić niżej podpisanym.

Zarząd Tow. „Samopomocy“.
Dr. Fel. Niegolewski, .. Idzi Świtała,
prezes. w z. sekr.

Poznań, dn. 28 czerwca 1906.

*** W sprawie imion polskich** wydany został dla rodaków naszych na obczyźnie ważny wyrok. Sprawa miała się tak:

Pan Lewandowski z Wanne zgłosił w dniu 19-go lipca 1905 r. w urzędzie stanu cywilnego w Wanne narodzenie synka, któremu dał imię Jan. Urzędnik zapisał jednak do rejestru imię Johann, przeciwko czemu p. Lewandowski zaprotestował, odmawiając podpisu protokółu. Sprawa oparła się o sąd. Obie instancye, to jest sąd okręgowy i sąd ziemiański, wydały wyroki w myśl postępowania urzędnika. Pan Lewandowski zgłosił więc zażalenie do sądu kameralnego w Berlinie, który przyznał racyę poprzednim instancyom, opierającym się na uchwale sądu kameralnego z dnia 11-go czerwca 1900 r. W uchwale tej powiedziano bowiem, że imiona, które oprócz pisowni niemieckiej mają jeszcze formę obcojęzykową, winne być zapisane do rejestru stanu cywilnego w języku niemieckim. Rozporządzenie ministeryalne z dnia 11-go marca 1898 o pisowni imion obcojęzykowych nie zmienia tu niczego, ponieważ imię Jan jest tylko inną formą imienia Johann, lecz jest tem samem imieniem. Także rozporządzenie ministeryalne z dnia 27-go lipca 1875 r. o pisowni imion w dwojakiej formie — niemieckiej i polskiej — nie może tu być zastosowane, ponieważ odnosi się ono tylko do okolic z przeważnie polską ludnością. Wanne zaś w okolicy takiej nie leży, dla tego sąd kameralny zażalenie powyższe odrzuca.

Wyrok to dla rodaków naszych na obczyźnie ważny, szczególnie ważny dla tych, którzy z rodzinami przebywają tam stale. Odbiera on im tę odrobinę prawa, jaka pod względem pisowni polskich imion nam tutaj w kraju pozostała.

Cóż teraz? Tak bez wszystkiego do porządku dziennego nad tą sprawą przejść nie można. Jest atoli tylko jedna droga wyjścia — *ażeby Polacy dawali dzieciom swoim imiona, które nie mają brzmienia niemieckiego,* a więc Mścisław, Mściwój, Rościsław, Wanda, Dąbrówka i t. p. Imiona te znaleść można w kalendarzach słowiańskich...

*** Poznań:** Izba karna uwolniła redaktora „Wielkopolanina“ p. Józ. Szmyta oskarżonego o obrazę i usiłowany przymus. Pan Sz. umieścił swego czasu w „Wielkopolaninie“ list piętnujący sprzedawczykostwo w ostrych słowach. Prokurator dopatrzył się w tem obrazy sprzedawczyków i chęci wymuszenia na ludności polskiej tego, ażeby ziemi swej nie sprzedawała Niemcom. Wniosek o nałożenie na p. Sz. 50 mrk. kary — sąd oddalił.

*** Z Główny** (pod Poznaniem) pisze akuszerka p. Terczewska do „Postępu:“

Jakiego to fortelu używa tutejszy urzędnik stanu cywilnego: Mnie akuszerkę z meldowaniem porodów przyjąć nie chce dla tego, że żądam, aby moje polskie pacyentki i ich niemowlęta w protokóle zapisywał jak przynależy po polsku, (co w 8 dniach ma być uskutecznione). Wzywa on potem moje chore położnice na termin, a gdy te jego żądania nie wypełnią, wpada na koncept i jaki? Oto posyła żandarma i pod tegoż eskortą ściąga położnice do biura.

W pewnym wypadku żandarma szczęście, że nie było męża w domu, gdyż szkaradna scena mogłaby się była odegrać, ponieważ położnica tak się przelękła, że dziecko po wyssaniu piersi dostało okropnych boleści i kurczy, i zaledwo udało się biedactwo uratować. Rozgoryczenie z tego powodu ogólne.

Rozgoryczenie jest zupełnie słuszne, bo postępowanie owego urzędnika jest nie tylko nie ludzkie, ale także — bezprawne. Na to postępowanie powinni się odnośni ojcowie użalić do wyższej *władzy* i donieść równocześnie posłom naszym, jakich to „dobrodziejstw“ z laski pruskiego rządu doznają.

*** Urzędowe wiadomości kościelne.** Wakacye konsystorskie trwać będą w tym roku od 16 lipca do 25 sierpnia włącznie. Tylko sprawy nie cierpiące zwłoki załatwiają się w tym czasie.

Archidyecezya Poznańska. Komendy udzielono od 1 lipca rb.: ks. Zygarłowskiemu, plebanowi z Gościeszyna, na beneficyum w Wolsztynie, ks. Rosenbergowi, komendarzowi z Wolsztyna, na probostwo w Lubaszu, ks. Zborowskiemu, proboszczowi z Dobrzycy, na beneficyum w Ostrowie i ks. Śniatale, wikaryuszowi z Rogoźna, na probostwo w Dobrzycy.

Administracyą parafii Biezdrowskiej powierzono ks. Likowskiemu, tamtejszemu wikaryuszowi.

Na wikaryaty powołano: ks. Schmidta, wikaryusza z Kaźmierza do Siennowa, ks. Nowaka, wikaryusza z Lubasza na wikaryusza substytuta ks. dziekana do Gościerzyna, ks. Kulę, wikaryusza z Golejewka na drugiego wikaryusza do Rogoźna, ks. Pieprzyckiego, wikaryusza z Borzęciczek do Czeszewa i ks. Niedźwiedzińskiego, wikaryusza z Ostrowa do Biezdrowa.

*** Warmiacy i Mazurzy** — jak donoszą pisma niemieckie zorganizowali się we Wetsfalii w osobny związek pod nazwą:

„Związek chrześcijańskich górników i hutników, pochodzących z Prus Królewskich i książęcych z siedzibą w Gelsenkirchen.“ „Goniec“ zwrócił uwagę na to, że chodzi tu o związek Warmiaków i Mazurów, choć nazwa związku rozszerza organizacyę na całe Prusy tak królewskie (zachodnie) jak i książęce (wschodnie).

Chodzi tu oczywiście o stworzenie organizacyi germanizacyjnej dla tych Warmiaków i Mazurów, którzy mówiąc po polsku mogliby ew. poczuć sympatyę do istniejących we Westfalii organizacyi polskich.

Niestety tak Mazurzy-protestanci jak i Warmiacy-katolicy szybko giną w morzu niemieckiej ludności westfalskiej.

Mazurów od Polaków i ich organizacyi odstręcza ich odrębność religijna; Warmiakom zaś brak zupełnie u-

świadomienia narodowego i obojętnie im jak się modlą do Boga, czy po polsku czy po niemiecku.

* **Zawiadomienie.** Od p. *J. Brzeskota*, dawniej w Bochum, obecnie w Łodzi w Król. Polskiem, odbieramy z prośbą o ogłoszenie następujące pismo:

„Wszystkich tych, którzy u mnie lub w moich biurach w Herne, Bottrop i Zbąszach pod Kościanem mieli jakiekolwiekbądź sprawy do załatwienia, przepraszam i zawiadamiam niniejszem, iż z powodu mego wyjazdu za granicę prusko-rosyjską do Królestwa Polskiego w pewnej ważnej akcyi, nie jest mi na razie możliwem temi sprawami nadal się zajmować. Na następców do załatwienia takich spraw proponuję organizacye Polaków na emigracyi i w kraju oraz ludzi, Polaków, posiadających u ogółu zaufanie.

Po akta proszę się zgłosić z nadesłaniem 20 fenigów w znaczkach pocztowych pod adresem Maryanna Brzeskot, Bochum, Hernerstr. 16a w przeciągu 14 dni. Późniejsze żądania nie będą uwzględnione.

Jan Brzeskot.

* **Poznań.** Majętność Wielką Starołękę wraz z Minikowem i Minikówkiem, razem około 1200 mórg znakomitej ziemi tuż przy samem mieście Poznaniu, własność p. Marcina Biedermanna, wziął w dzierżawę p. Tadeusz Prabucki, dotychczasowy wieloletni administrator Pomarzan.

* **Grady.** Dnia 28-go i 29-go czerwca spadł w Księstwie Poznańskiem grad tak straszliwy, jakiego nie było od 25-ciu lat, i wyrządził ogromne szkody. W niektórych miejscach grad był wielkości kurzych jaj. W wielu miejscach na całych obszarach nawet nie można poznać, jakie tam zboże było zasiane. Najbardziej dotknięte są powiaty śmigielski, kościański, śremski, średzki, gnieźnieński, mogileński, szubiński, żniński, inowrocławski i strzeliński. Zawiodła przeto nadzieja dobrego żniwa w tych powiatach. Dnia 29-go czerwca grad dotknął najbardziej powiaty szamotulski, zachodnio-poznański i obornicki. Tem większem byłoby nieszczęście, gdyby się wykazało, że gospodarze za nisko byli zabezpieczeni albo wcale nie. Niestety jeszcze wielu, mianowicie mniejszych gospodarzy nie pojmuje ważności zabezpieczenia się od gradobicia.

* **Zapytanie:** gdzie możnaby założyć skład towarów łokciowych? Odpowiedzi prosimy pod adr.: ekspedycya „Pracy“ 101.

* **Ogłoszenie V** z dnia 4-go lipca 1906. **Chleb dla swoich. Następujący rodacy dzielni w swym zawodzie, znajdą przy pewnym zasobie kapitału chleb między swoimi: 1) adwokat, 2) księgarz, 3) lekarz, 4) kowal, 5) kupiec delikatesów (zaliczka 4—5000 mrk.), 6) kiper, 7) piekarz.**

Poszukujemy posady 1) dla rodaka starszego, zasłużonego dla społeczeństwa, jako rendanta na wsi lub współpracownika w biurze fabrycznem, technicznem, lub redakcyi pisma ludowego. 2) dla młodzieńca 24 letniego, bankowca, za bardzo skromnem wynagrodzeniem, 9) dla chłopaka 15-letniego, pochodzącego z Prus Zachodnich, w kantorze kupieckim, 4) dla chłopaka z porządnej familii jako ucznia zegarmistrzowskiego w polskiem mieście u polskiego mistrza.

Bliższych informacyi — najchętniej ustnie — udzieli Biuro „Straży,“ Piekary 13. — Adres: Dr. Jaworski — Poznań — Posen.

* **Zajęcia** poszukuje młody, wykształcony rodak z obczyzny; skończył prymę. Zgłoszenia przyjmuje redakcya „Pracy“ pod 1884 W. N.

* **W Śmiglu** wybrano — jak to przewidywać trzeba było — niemieckich rajców miejskich w miejsce tych, którzy poskładali swoje urzęda. Wybory odbyły się w czwartek dnia. 28-go czerwca i dały następujący wynik: W I. klasie wybrani adwokat Rummler i kupiec Kuppi 10 głosami przeciwko 5 polskim. W II. klasie wybrano introligatora Kleina 36 głosami. Polak otrzymał głosów 12.

* **We Wrześni** odbył się ub. niedzieli wiec celem zaprotestowania przeciwko usuwaniu języka polskiego z nauki religii. Blisko dwa tysiące wiecowników wypełniło po brzegi ujeżdżalnię p. hr. Poninskiego. Wśród wiecowników znajdowało się liczne grono duchowieństwa. Wiec zagaił ks. prob. Łabędzki z Wrześni, przewodniczył mu ks. dziekan Poturalski z Winnej Góry, przemawiali pp. Tad. Chrzanowski z Kościanek, Wacł. Maciejewski z Kaczanowa, Antoni Stawniak ze Strzałkowa i ks. Nieraziński z Grabowa. M. — jest gospodarzem, St. robotnikiem. Przyjęto odpowiednią rezolucyę. — W obronie praw języka i religii występują wszędzie wszystkie warstwy w zgodzie i harmonii — oraz w bratnim obok siebie szeregu. Uważamy to za pewien postęp w naszych stósunkach.

* **W Czerniejewie** odbył się ub. niedzieli oprócz wieca „Straży“, na którym przemawiał jako delegat p. dr. T. Jaworski — także wiec w sprawie nauki religii. Na propozycyę ks. proboszcza Bąka wybrano 2 komisye, jednę dla nauki języka polskiego, drugą dla nauki religii. Ks. prob. Bąk podkreślił szczególnie to, ażeby rodzice dzieciom do szkoły dali piśmienne wnioski, że nauki religii w niemieckim języku sobie nie życzą, i że zakazują dzieciom religii po niemiecku się uczyć. — Przykład Miłosławia znajduje widocznie naśladowców — daj Boże — najwięcej!...

*** W Gostyniu odbył się w ub. niedzielę znamienny wiec celem zaprotestowania przeciwko niemieckiej nauce religii. Przewodniczył p. dr. Granatkiewicz a pierwszy przemawiał ks. prob. Jaczowski z Gostynia. W czasie przemówienia pyta zebranych:**

1) Czy zgadzają się na to, aby dzieci ich uczyły się w szkole religii po niemiecku? — Odpowiedzi brzmiały — nie! — protestujemy! — nie pozwolimy!

2) Czy chcą sami sobie pomódz i uczyć dzieci w domu religii i katechizmu polskiego. (Posypały się odpowiedzi jak: nie! — szkoła ma uczyć! — na co płacimy podatki! — dopóki mamy szkoły nie będziemy uczyć!)

3) Czy żądają, by zaprowadzono w szkołach polski wykład religii? (Żądamy! zawołano donośnie).

Po przemówieniach p. Jakubiaka i Koniecznego zwrócił wiecownikom uwagę ks. *Maliński* z Dolska na to, że fałszywa jest ich odpowiedź, że nie chcą uczyć religii sami, że je uczyć ma szkoła. Niema się co łudzić — rząd się nie cofnie — dla tego rodzice sami *muszą* się zabrać do nauki religii.

Najważniejszą atoli jest ta okoliczność z wieca gostyńskiego, że znalazł się ksiądz, który wystąpił przeciwko wysyłaniu rezolucyi protestującej do Berlina. Skutku ona i tak nie odniesie — a szkoda na wysyłkę pieniędzy. Tym księdzem, który myśl tę podniósł, to ks. Olejniczak z Gostynia. Stanowisko jego pochwalamy najzupełniej. Wszystkie uchwalane protesty i rezolucye nie odwrócą od nas niebezpieczeństwa germanizacyi w szkole, bo rząd od raz wytkniętego celu nie odstąpi. Temu systemowi może tylko przeciwdziałać ojciec i matka wyrywający chwasty germanizacyjne zaszczepione w szkole — przez polską naukę religii i języka w domu.

* **W Inowrocławiu** zapadł w tych dniach ze wszech miar godny uwagi wyrok. Na wiecu „Straży“ w Kruszwicy dnia 25-go marca b. r. wygłosił włódarz pan Burzyński z dóbr Schoenwert, należących do spadkobierców byłego naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego barona Willamowitz-Moellendorfa — mowę przeciwko sprzedawczykostwu. Z tego powodu wypowiedział mu miejsce i mieszkanie zawiadowca dóbr p. v. Heydebreck. A ponieważ B. mieszkania nie opuścił, wytoczono mu proces o opuszczenie mieszkania. „Straż“ wzięła Burzyńskiego w obronę i proces wygrała na podstawie § 27 konstytucyi pruskiej, który gwarantuje każdemu obywatelowi swobodę przekonań i słowa. Burzyński ma prawo pozostać na folwarku do 1-go stycznia 1907 r. t. j. tak długo jak kontrakt ma zawarty.

* **Z pod Wschowy** ze wsi *Konradowa* donosi „Przyjaciel Ludu“ o ciekawym wypadku. Gospodarz i zarazem gościnny Büttner sprzedał swoje gospodarstwo Janowi Mielochowi z pod Śremu. Dowiedział się o tem komisarz i czemprędzej przyjechał do Büttnera, z namową, aby Polakowi ziemi nie sprzedał, a że jeszcze sądowego zapisu nie było, więc Büttner napisał Mielochowi, że się od sprzedaży cofa. Büttner ruszył też zaraz do komisarza z wnioskiem o pożyczenie 2 tysięcy marek na przebudowanie gościńca. Komisarz mu przyrzekł pożyczkę pod warunkiem, że piśmiennie się zobowiąże nie sprzedać nigdy swej posiadłości Polakowi. Na to się Büttner oburzył i powiedział: „Przecie Polak temu samemu królowi służył, co ja i pan komisarz, zresztą my wszyscy jesteśmy Polakami, bo na polskiej ziemi żyjemy“. I więcej jeszcze różnych rzeczy nagadał, potem poszedł do landrata, ale i tam położono mu te same warunki, co u komisarza. Büttner i tutaj znalazł stósowną odpowiedź, wreszcie gospodarstwo swoje sprzedał Polakowi z Kołaczkowic, nie troszcząc się już o komisarzy, landratów i innych panów urzędników. — Daj Boże więcej takich.

* **W Toruniu** odbył się dnia 29-go ubiegłego miesiąca wiec polski na sali Muzeum w celu założenia „Związku Pracownic Polskich". Po ożywionych rozprawach przyjęto ustawy istniejącego już Związku w Westfalii i założono nowe stowarzyszenie pod tytułem „Związek Pracownic Polskich — oddział toruński". Przeszło 40 członków zapłaciło zaraz składkę. Do zarządu weszły panie: Wieczorkowa, jako przewodnicząca, Sulecka, jako jej zastępczyni, Reichowa, jako sekretarka, Wanda Wojciechowska, jako jej zastępczyni, Florczakowa, jako skarbniczka, Jabłońska, jako jej zastępczyni. Zarząd wybrał sobie kierownika w osobie p. redaktora Juliusza Reicha, który w myśl ustaw, zastępować ma towarzystwo wobec władzy.

* **W Grudziądzu** odbył się ub. niedzieli wiec Polek. Panowie Rakowski i Kulerski upominali matki, by dzieci swe wychowywały po polsku i w ojców wierze

* **Z Dortmundu do Werl** (w Westfalii) odbyła się w niedzielę dnia 24-go czerwca ogromna pielgrzymka polska. Werl, to miejsce cudowne. Pielgrzymkę zorganizował ks. O. Bazyli z Dortmundu. Liczyła ona 4500 uczestników i 51 chorągwi. Procesya miała widok wspaniały. Przodem szło 50 dziewcząt w bieli, za niemi dorosłe panny również w bieli — a wreszcie niezliczone tłumy wiernych, nad których głowami powiewały chorągwie. W klasztorze przyjmowali OO. Franciszkanie z O. Gwardyanem na czele pielgrzymkę polską, wyznając z podziwem, że tak wielkiej jeszcze nie było w Werlu. W nabożeństwie brało udział 4 księży Polaków; wygłosili trzy kazania.

Pielgrzymka udała się pod każdym względem: pogoda była znakomita, porządek w pochodach wzorowy, nabożeństwo budujące, gościnność OO. Franciszkanów uznania godna. Niemcy nie wychodzili z podziwu.

* **Z Dysseldorfu** (w Nadrenii) donoszą „Gońcowi Wielkopolskiemu", że tamtejszy komitet kościelny otrzymał nareszcie zawiadomienie, że życzenia Polaków pod względem częściejszych kazań polskich zostaną wkrótce uwzględnione. Otrzymać mamy na stałe młodego księdza świeckiego. Z niecierpliwością oczekują wszyscy godziny, kiedy to nastąpi. Stałoby się przez to zadość już od dawna czynionym staraniom komitetu.

Komitet, o ile nam wiadomo, rozpoczął energiczne zabiegi przed dwoma jeszcze laty. Szczerze też powinszować mu należy skutku tych zabiegów.

— Ubiegłej niedzieli odbył się tutaj wiec „Zjednoczenia", na który przybyć mieli pp. Sosiński i Manikowski. O stosunkach miejscowych i o skargach na niezgodę w „Zjednoczeniu" przemawiał delegat na Dyseldorf p. Walenty Chwiałkowski. W dyskusyi wytaczali mówcy pp. Drygas, Najdrowski, Komach, Flisiakowski, Kierblewski i Strugała różne skargi, mianowicie na to, dla czego zarząd oddalał urzędnika biura „Zjednoczenia" pana Wanota. Na skargi te obecny na wiecu przedstawiciel zarządu p. J. Korpus nie dawał odpowiedzi. Na wiecu było około 150 osób.

Po niewygodnym Brzeskocie — oddala „Zjednoczenie" niewygodnego Wanota. Jak tak dalej pójdzie, to „Zjednoczenie" nie znajdzie wogóle ludzi, którzyby chcieli bronić praw jego członków.

* **Chleb dla rodaków.** Bławatnik i zegarmistrz mogą liczyć na powodzenie w mieście zachodnio-pruskiem, liczącem 10 tysięcy mieszkańców. Zgłoszenia przyjmuje Eksp. „Pracy" pod Nr. 102.

* **Odznaczenie.** *P. H. Smyczyńskiego,* aptekarza z Chełmna w Prusach Zachodnich, niestrudzonego pracownika na polu farmaceutycznem, odznaczono na wystawie tegorocznej we Wiedniu pod protektoratem arcyksięcia Eugeniusza *najwyższym dyplomem honorowym,* t. j. *złotym medalem i krzyżem honorowym za nadzwyczaj skuteczne środki kosmetyczne i farmaceutyczne.* (Patrz inserat).

* **Zwracamy** Szanownym Czytelnikom uwagę na anons pana *M. Michałowskiego,* który poleca na obecną porę żniw znane w kołach rolniczych *żniwiarki amerykańskie Deeringa* jak również wszelkie maszyny rolnicze. — Ruchliwy przedsiębiorca od szeregu lat pracuje ręka w rękę z rolnikiem i z całą sumiennością firmę jego polecić możemy. Szczęść mu Boże!

* **Tanie pocztówki narodowej treści.** Ponieważ większa część Polaków i Polek używa cudzoziemskich pocztówek, polecamy następujące karty, wydane przez *J. Chociszewskiego* w Gnieźnie: 1) Kościuszko w krakowskiej sukmanie. 2) Mickiewicz Słowacki i Krasiński na jednej karcie. 3) Staszyc, dr. Marcinkowski i M. Jackowski z godłami rolnictwa, przemysłu i nadziei. 4) Piast w Kruświcy. 5) Kujawiak i Kujawianka podług rysunku P. Gardzielewskiego. 6) Krakowiacy i Rusini. 7) Grażyna na koniu; prześliczna pocztówka. 8) Korona, którą się koronowali królowie polscy. 9) Szczerbiec, miecz koronacyjny królów polskich. 10) Husarz polski na koniu. 11) Kościuszko, Kiliński i Głowacki. 12) Jan Kiliński. 13) Wesele wiejskie i 14) Dzieci ukraińskie, podług rysunku Grotgera. 15) Jenerał Sowiński broni Warszawy, czyli Polak poddaje się tylko Bogu. 16) Napoleon i Andrzej Niegolewski pod Somo-Sierrą. 17) Kościół w Środzie i sejmik za polskich czasów. 18) Mapka Księstwa Poznańskiego w narożnikach obrazki: tum w Gnieźnie, wieża kruświcka, ratusz w Poznaniu, oraz posągi Mieczysława i Bolesława. 19) Mapka Księstwa Cieszyńskiego. 20) Mapka Prus Zachodnich. 21) Mapka całej Polski z 39 herbami. 22) Korona czeska. 23) Kopalnia soli w Wieliczce. 24) Sokół (ptak). 25) Lech znajduje gniazdo białych orłów. 26) Kościół katedralny w Gnieźnie. 27) Mieczysław I zaprowadził wiary chrześciańskiej w Polsce. 28) Kościół św. Jerzego, najstarszy w ziemiach polskich, w którym Mieczysław był ochrzcony. 29) Mieczysław i Dąbrówka podług rzeźby O. Sosnowskiego. 30) Lech, Czech i Rus zakładają Poznań. 31) Tum w Gnieźnie. 32) Posągi Mieczysława i Bolesława Wielkiego w złotej kaplicy. 33) Korona królowej Jadwigi. 34) Kościół pobernardyński. 35) Pomnik Mickiewicza. 36) Ratusz poznański. 37) Bazar w Poznaniu. 38) Teatr polski. 39) Główny dworzec w Poznaniu. 40) Herb Gniezna i korona polska. 41) Dziewica Orleańska. 42) Herb Gdańska itd.

55 powyższych pocztówek (niektóre podwójnie) przesyła się za nadesłaniem 1,60 mk. znaczkami pocztowemi w liście lub 1,65 mk. przekazem. Kto zatem nadeszle 1,60 lub. 1,65 mk. odbierze franko 55 pocztówek narodowej treści. Sprzedającym z drugiej ręki rabat.

Zamawiać pod adresem: *J. Chociszewski, Gniezno — Gnesen.*

Od Redakcyi.

— *P. Janicką z Hamburga* prosimy o podanie bliższego adresu, inaczej nie możemy jej prośbie zadosyć uczynić.

— *Panu Antoniemu Fl. w Lutgendortmund.* — Cieszy nas bardzo, że się Szanownemu Panu i znajomym powieść „Dla milionów" *tak bardzo podoba.* Jak się powieść skończy, nie wiemy, bo autor nie nadesłał nam jeszcze dokończenia rękopisu, ale zdaje się nam, że wszystko dobrze się skończy i że morderców dosięgnie ręka sprawiedliwości.

„Ufnej" w Paryżu: Niestety — do druku się nie nadaje.

Panu Alojzemu Kr. w K. — Dziękujemy Szanownemu Panu za łaskawą pamięć, ale spraw takich publicznie nie warto poruszać.

Panu P. Bielowi w Krowodzy. — Przed tygodniem wysłaliśmy do Szan. Pana „Wierszowaną Historyę Polską" jako nagrodę za rozwiązanie szarady. Jeżeli Pan jej nie otrzymał, to nie z naszej winy, lecz z winy poczty, która widocznie książkę zagubiła. Wysyłamy dziś Panu „Cyganeryę warszawską" p. Moszkowskiej.

— *Panu De... es. w Prusach Zach.* Wierzymy, że „czułość" Pańska potrzebuje „leków". Zaręczamy atoli, że wiersze „tkliwości" tej nie uzdrowią. Nie znaleźliśmy w nich oprócz powyższych „czułości, tkliwości, miłości," ani rymu, ani rytmu — a już ani krzty poezyi. Radzimy — kochaj się Pan szczerze, ale bez wierszy.

Do Chojnic panu Kr.... Zużytkujemy w jednym z przyszłych numerów. Pozdrawiamy.

Na powiat wyrzyski był starostą ks. Kaczmarek, który ze znanych powodów urząd swój złożył. Dotąd starosty niema, bo nikt — podobno — urzędu tego przyjąć nie chce.

P. L. Jank... w Żerkowie. Jeżeli brat Pana utracił już obywatelskie prawo w Prusiech, to będzie mu bardzo trudno uzyskać je na nowo. W przeszłym roku rząd wydalił pewną polską rodzinę z Księstwa, która przez dłuższy pobyt w Ameryce prawa obywatelskie tutaj utraciła. Niech się Pan poradzi dobrego adwokata, co robić.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

O własnych siłach.

(Ciąg dalszy).

— Toś ty taka! — syknął. — Czekaj zapłacę ci za to.

Ale Joasia na drugi dzień sama nie poszła do kuchni.

— Czy to płot jestem, żeby się każdy o mnie obetrzeć musiał? — myślała. — I wstyd mam także w oczach, po co mi głupstw słuchać? Marcysiu, nie wiecie gdzie innej służby? — prosiła.

Ale Marcyna gniewała się na nią i niechętnie mruknęła:

— Panią ci być, w salonie siedzieć, nie chodzić po służbach. Myślisz, że gdzieindziej święci są ludzie? Wszędzie żartów posłuchać musisz.

— Żartów! dobrze, ale oni takie brzydkie rzeczy prawili. A kucharz, to już najgorszy.

— Gadali, to trzeba ci było niesłuchać, albo walić na odlew, jak do ciebie mówili. Źle ci tu było, powiedz? I ciastka ci znosili i wina w kieliszkach, a kucharz najlepszy kawałek wybierał i mruczał, żebyś go wzięła. Ot głupia, ukradli by cię, czy gwałtem do kochania zmusili? Nicby ci niebyło, a cobyś się wyjadła, to wyjadła.

— I tak się upasła, jak wy Marcysiu — uśmiechnęła się dziewczyna.

— Tak, toby było zanadto — roześmiała się Marcyna. — Ale tak nieco, toby ci się zdało. Trochę za krucha jesteś! Jak jakie kurcze. Pluń na nich i idź do zmywania.

— Choćbyście się gniewać mieli, nie pójdę, bo bić nie będę, a słuchać muszę. Na co mi takie zmartwienie?

Przez kilka dni chodziła Joasia do stróżki, do Pawłowej i innych, ale żadna nie wiedziała, gdzie służby szukać.

Dopiero Janowa, powróciwszy z roboty, któregoś wieczoru, pocieszyła ją trochę.

— Czekaj — wołała — jutro będę prała u jednej bogatej pani. Jest dwoje dzieci, powiem jej o tobie. Może cię weźmie.

— Joasia skoczyła do niej.

— Dajcie mi tylko tę służbę, to wam taki fartuch uszyję — szepnęła.

Ale Janowa, jakby nie słyszała, mówiła powoli:

— Ta także dolę znalazła. I ładna i dobra i kochająca, a jednak tylko zmartwienie jej robi.

— Kto taki? — pytała Joasia.

— Mąż tej pani. Nic jej nie szanuje. W karty gra, hula i za innemi lata. Jabym tam o takiego nie dbała. Nie kochasz? Nie kochaj, abyś mi dał tylko na wszystko. Co mi do tego, co tam za domem robisz? A ona, jak sługi mówią, nieraz na kolana przed nim upadnie i prosi:

— Stasiu, kochaj mnie trochę. Wszystko ci oddam, na biedę się zgodzę, tylko mnie kochaj. Ot głupia dopiero! Jeszcze mu swój majątek oddać gotowa.

Joasi przypomniał się ojciec i matka, ich kochanie i tęsknota za sobą, i do serca wstąpiła litość dla tej biednej, która za kochanie nic dostać nie mogła.

Postarajcie się o tę służbę, matusiu — prosiła. — Taką mam do niej ochotę.

— Myślisz, że ciebie zostawi w spokoju? — mruknęła Janowa. Każda zbałamuci, jak mu się tylko spodoba.

— Co tam o takich mówić — wzruszyła ramionami Joasia. — Co one warte, jak mogą jeść chleb swojej pani i sprawiać jej smutek? Jakby mi jedno słowo po cichu szepnął, powiedziałabym, że pójdę do pani i powiem. Pewnie by już nie myślał o szeptach.

— Czekaj, poznasz go, zobaczymy, co powiesz — roześmiała się Janowa. — Co prawda piękny, jak słońce i słodki, jak miód. Dziewczęta, jak muchy do niego lecą.

— Ale ja nie polecę — roześmiała się dziewczyna. — Nie dany mi, nie będzie moim, poco mi nawet patrzeć na niego? Niech ta patrzy, do której należy. Janowa, czy doktór, który do matusi chodził, nie piękny? A gospodarz nasz? No, czy nie królewicz? Nie myślę o nich, nie będę o tamtym myślała i tak będę przy jego dzieciach spała spokojnie, jakby go wcale na świecie nie było. Dla mnie nie królewicz, nie wielki pan, tylko prosty chłopak, jak i ja choćby i biedny, aby poczciwy i kochał tak, jak ojciec matusię. Innego kochania nie chcę póki mojego życia.

— Tymczasem idź spać — śmiała się stara. — Oczki ci wypoczną, będą ładniejsze, prędzej jaki złapie się na nie.

— Jeszcze czas — uśmiechnęła się Joasia — ale wypędzacie, to idę.

— Ja cię spać wysyłam, nie z izby — obruszyła się Janowa. — Czy to nie możesz przespać się u mnie? Kufer wprawdzie trochę przykrótki i trochę zawązki, aleś ty nie Marcyna, zmieścisz się na nim. Olaboga to faska masła — śmiała się stara. Czego to ona w siebie nie wepchnie. Pewnie burczała, żeś służbę rzuciła?

— Burczała i dobrze, ale ja naprawdę nie mogłam tam wrócić.

— No i co ci mówiła?

— Powiedziała, że niktby mnie nie ukradł a cobym liznęła dobrego, tegoby mi nikt nie odebrał.

— A nie uczyła cię czasem, jak to się wali na odlew?

— A jakże — śmiała się Joasia.

— O widzisz, to jej tylko po głowie chodzi, bo robota jej — pożal się Boże!

Ale Joasi żal się zrobiło, że Janowa tak o niej mówi i odezwała się prędko:

— Jak może, pracuje, za darmo jeść jej nie dają i ona taka, Janowo, dobra. Czy to z miłości chciała mnie trzymać przy sobie? Powiedźcie sami, zacoby miała mnie kochać? Ot poprostu dla tego, że jestem sierota, młoda, mam jeszcze mało rozumu, a różni ludzie bywają. Nigdy nie zapomnę jej tego. Mówicie, że tylko o łyżce myśli.

— Gnat każdy ogryzie — przerwała stara. — Z talerzy zgarnia.

— Widzicie, a mnie najprzód na talerz kładła i dobrze słyszałam, jak pierwszego dnia o kotlet dla mnie kucharza prosiła. Myślała, że nie słyszę, a ja słyszałam i tego jej nie zapomnę.

Jasny był już dzień, gdy otworzyła oczy, ale w pokoju nikogo nie było. Gdy jednak dojrzała, że do krótkiego kufra czyjeś poczciwe ręce przystawiły stołek, przykryty grubą chustką w kilkoro złożoną, a na ciepłym piecu stała szklanka pełniutka mleka, łzy jej nabiegły do oczu.

Tak ciężko pracuje, a mnie jednak nie pożałowała śniadania i to jeszcze mleka, które tyle kosztuje. I tobie pamiętać będę — myślała.

Wieczorem Janowa z dobrą miną wróciła, bo miała służbę w zanadrzu.

— W sam raz o tobie wspomniałam — odezwała się ściągając chustkę ze siebie. — Niańki dwa dni już niema,

a dzieci rozpieszczone, grymaśne. Sama pani do mnie przyszła, bo co to tam takiej delikatnej przy dzieciach chodzić. Tylko może się boisz, bo kucharka mówi, że bardzo grymaśne.

— Wszystkie dzieci grymaśne. Nie w głowie mi strachy. Poznają mnie, polubią i będzie zgoda, jak w niebie.

Nazajutrz z bijącem sercem poszła z Janową na służbę. Było jeszcze wcześnie — pani spała, zanurzyła więc ręce w wodzie i prać zaczęła.

— Co będziesz w wodzie się paprać! — odsunęła ją Janowa. — Dosyć się jeszcze chudziaku namordujesz w życiu. Chciałabym wam choć za mleko odrobić, bo za poczciwe serce nie wypłacę się nigdy i pocałowała ją w ramię.

— Dobry dzieciak — mruknęła stara. — Wreszcie jeżeli o robotę chodzi — uśmiechnęła się do niej, — poskładaj chusteczki do magla.

— Wszystkie takie na robotę łase, jak na służbę przychodzą — odezwała się kucharka.. Przejdzie tydzień i kijem do roboty nie nagnasz. A może ty inna? No jakże?

— Jeżeli będziemy razem, zobaczycie, — szepnęła Joasia i układała dalej.

W tem weszła pani i chusteczka wypadła jej z ręki.

— Boże mój muchę by nie podniosła, — przeszło jej przez myśl.

— Toś ty taka pilna? — uśmiechnęła się do Joasi. — Służyłaś już gdzie, kochanko?

Wtedy oczy Joasi napełniły się łzami i nachylając się do ręki pani, szepnęła:

— Nigdzie nie służyłam. Byłam przy ojcu i matce. Teraz nikogo nie mam i muszę za siebie myśleć.

— To może nie będziesz wiedziała, jak z dziećmi się obejść?

— Czy to do tego nauki potrzeba — uśmiechnęła się serdecznie dziewczyna. — Trzeba je tylko kochać. Wtedy ani przy pani, ani za jej plecami nie robi się krzywdy i czegóż więcej dzieciom potrzeba?

W dodatku gdy zobaczyła chłopczyka o jasnych włosach i maleńką dziewczynkę, jak lalka siedzącą w kołysce, uśmiechnęła się do nich serdecznie.

— Będę was kochać myślała sobie i musi nam być ze sobą dobrze.

I oddała się im całem sercem, całą cierpliwością i uwagą, rozumiejąc, że tylko u ludzi dorosłych rozumu szukać należy.

Rano ubierała je uważnie, czesała powolutku, karmiła, chodziła na spacer, gdy zaś spały, lub bawiły się spokojnie, czyściła ubranka, naprawiała zabawki — zawsze uśmiechnięta, wesoła, gdy które wołało na nią.

I tak czas jej przechodził, a ona czuła, że ta służba nie jest dla niej niewolą, jak inne służące mówiły. Ten dach, pod którym żyje nie cudzy, a ta blada kobieta i te dwa maleństwa coraz bliższe, coraz bardziej kochane. Z czasem bolała ją każda łza, cieszył uśmiech jej pani, a dzieci! krewby za nie oddała. Tylko kucharka śmiała się z jej kochania, gdy jej wspomniała o dzieciach.

— Głupia jesteś — rzuciła jej raz niechętnie. — Tak się starasz, tak koło nich łazisz, jakby ze szkła były i potłuc się mogły. Bez sińca żaden dzieciak wyrosnąć nie może. Myślisz, że ci pensyi podniosą, jak będziesz się lizać.

Joasia chciała jej odpowiedzieć, ale machnęła ręką i poszła.

— Co tam mówić z taką, która nie rozumie ani przyjaźni, ani życzliwości — myślała, — a na panią patrzy jak na worek pieniędzy dobry wtedy, gdy płaci za robotę i za życzliwość i za serce. Niema pieniędzy — niema i serca. Myślisz, że ci pensyi dodadzą jak będziesz się lizać, — przypomniały się jej słowa kucharki. — Bóg świadkiem — szepnęła, — że mi pieniądze nie w myśli. Gdybym widziała, że które głodne, choć biedna jestem, oddałabym swoje.

* * *

Przeszły trzy lata. Z Joasi, chuderlawej dziewczynki, wyrosła dziewczyna, jak kwiat rozkwitły. Oczy ciemne błękitne, świeciły jak gwiazdy, jasne włosy kręciły nad białem czołem, a ząbki białe i równe błyskały wśród ust czerwonych zawsze gotowych do wesołego uśmiechu.

Teraz nie była już nianką — była wszystkiem w tym drogim jej domu, gdzie częściej bywał smutek niż radość.

Joasia przebolała każdą stratę, każdy smutek, a gdy jak dawniej, w czasie choroby jej matki i tu drogie meble, srebro, piękne dywany sprzedawano, żeby zaspokoić tych, którzy wołali o swoje, Joasia nocami płakiwała serdecznie nad dolą pani i dzieci.

— Janowo, ja na pana patrzeć nie mogę, zwierzała się czasem. Toć on gorszy zbrodniarz od tego, który w ciemności z toporem stoi. Tamten zabija odrazu, a ten, matusiu, odbiera życie słowem i czynem każdej prawie godziny. I gdybyż choć karę miał za to. Nie! niema kary, moi serdeczni, bo pani zawsze go kocha gorącem sercem. A Joasia zrozumieć nie mogła, jak można brać czyjeś myśli i całe serce i nie zapłacić za to, nie oddać sercem podwójnie. Wogóle Joasia wielu rzeczy zrozumieć nie mogła, a tego najbardziej, że życzliwości, chociażby odrobiny wdzięczności, nigdzie napotkać nie mogła.

Nieraz idąc z dziećmi alejami ogrodu, spotykała znajome służące rozbawione, wesołe, często ze znajomymi u boku, a dzieci, dla których przyszły, bawiące się dalej, bez żadnej opieki.

Niejedna, stając tuż przy niej, wołała ze śmiechem:

— Rzuć-że raz te bachory i chodź do nas na chwilę. Postronkiem cię przywiązali, czy co u licha!

Gdy pierwszy raz usłyszała „bachory" nie mogła się uspokoić ze śmiechu, tak jej się zabawnym wydał ten wyraz.

— Bachory! — myślała. — Te śliczne, małe laleczki, które mi białe rączyny tak mocno wtulają w dłonie? Czego to nie wymyślą!

Nie poszła więc nigdy. Przeciwnie, im bardziej krzywiono się na nie, tem je mocniej, gorliwiej garnęła do siebie.

— Nie dobre jesteście — gniewała się nieraz. — Odejść od małych dzieci, żeby sobie co złego zrobiły? Matka mi je zdrowe oddała, to i zdrowe do domu powrócą. Nie pójdę — dajcie mi spokój.

— Mało masz ich krzyku? — pytały.

— I wy krzyczałyście, jak byłyście małe — śmiała się wtedy. — Niech krzyczą, aby się zdrowo chowały.

— Chyba myślisz piękną gwiazdkę zarobić, że tak się starasz? — uśmiechały się złośliwie. — Czekaj dostaniesz chustkę za złoty.

Gdy szła na targ zatrzymywały ją również i żaliły się, narzekały na służbę.

— To dopiero trafiłam — mówiła jedna — pani rachunek odemnie odbiera. Można żyć z taką.

— Skromne obiady, nic dla siebie schować nie mogę, mówiła inna, a były i takie, które pokazywały gorszy kupiony towar, mówiąc, że tylko w ten sposób mogą parę groszy odłożyć.

— A ty jak sobie radzisz ze swoją? — pytały.

— Ot pytanie! — śmiała się Joasia. — Co mi kazano, kupuję. Ile zapłaciłam, powiadam i w pończochę nic dotąd nie chowam.

(Cią dalszy nastąpi.)

Maryan Jastrzębiec.

Nim wzejdzie dzień...

Powieść na tle wypadków Królestwa Polskiego 1905 r.

17) (Ciąg dalszy.)

— Bądź spokojna, Anieluś, już ja będę ostrożny; mając do wyboru życie w cytadeli, albo w Męcinach przy Marychnie można stać się filistrem z altruisty.

— I kiedyż jedziesz?

— Jutro rano pierwszym pociągiem, jeśli mama nie będzie miała nic przeciwko temu.

— Oh mamie tak obrzydła Warszawa z tych ostatnich dni, że i jej pewnie będzie pilno wrócić jak najprędzej na wieś.

Jakoż wyjechali nazajutrz, zostawiając za sobą Syreni-Gród w dziwnym nadzwyczajnym nastroju. Ogólny strejk, rozstrzygany w Rosyi szarżą wojsk i nahajkami kozaków, ciężył w powietrzu, jak para przed burzą.

I poczęły się dla Warszawy dni okropne. Poważne pochody z czerwonym sztandarem i hymnem, a potem pułki piechoty, strzelające na oślep do zuchwalców, idących z gołemi rękoma naprzeciw nich, strzelające do tłumów, uciekających w panice i popłochu, strzelające do dzieci i wyrostków, co z ciekawości wobec nowego widowiska wylegały na ulice. I poczęły się dla Warszawy chwile rozpętanego humoru, bliskiego prawie rozpaczy, którym wybuchał lud przy zdzieraniu liberyi z dorożkarzy, przy sadzaniu pasażerów na koźle, przy drwinach z pojedyńczych patroli. I nastały dnie jeszcze straszniejsze, gdy uczciwy protest w imię praw narodu i ludzkości, chciano zohydzić i wypuszczono zgraję znanych nożowców i rabusiów z Woli i przywieziono z Nowo-Mińska specyalnym pociągiem kilkuset kryminalistów, odsiadujących karę w miejscowem więzieniu i banda ta ruszyła w śródmieście. Poszła Wola pohulać po Warszawie. I zaczęło się dzieło zniszczenia; rabowano, rozbijano, upijano się, palono. Tłumy wyjąc i rycząc toczyły się coraz dalej po stosach połamanych sprzętów, tłuczonego szkła, a wojsko stało z daleka i śmiało się z zadowoleniem, bo oto w Warszawie dokonywało się coś gorszego, niż rozlew krwi — dokonywało się zohydzenie imienia polskiego, rozlewała się plama, która przy braku odpowiedniego oświetlenia, mogła była długo razić oczy Europy. Pozwoliwszy czerni pohulać, ruszyło wojsko na Warszawę i rozgrywały się sceny mordów i polowań na niewinnych przechodniów i zabójstwa dzieci i umyślnie uprawiane przez oficerów huzarskich odcinanie szablami uszu i nosów opornych, lub ucikinierów dla zostawienia wiecznej pamiątki.

A potem pogrzeby nocne setek ofiar składanych na wozy, bez księdza, bez asysty, bez rodziny, otoczonych wojskiem, jakby te ciche trupy przedstawiały niebezpieczeństwo dla potężnego państwa Rosyjskiego. Zapomniano jednak o jednem: że grób ma także swą wielką i doniosłą wymowę. Na smutnym cmentarzu Brudnowskim powstało kilka wspólnych mogił, mieszczących po kilkadziesiąt ciał rzuconych w zbitych kilku deskach, nie zanotowanych w księgach cmentarnych, bo po większej części nie rozeznanych. A nad temi grobami co niedzielę i święto zatrzymują się gromadki zbolałe, płaczące i patrzą po sobie ze współczuciem i serdecznością i poczynają się rozmowy:

— Kogo pani tu ma?

— Syna, pani droga, jedynego go miałam, 17-cie lat, terminował u kotlarza, chłopak dobry, że daleko szukać drugiego takiego. Wyszedł wtedy na ulicę zachwycić gdzie co do zjedzenia, bo już chleba dostać nie można było.... i Pan Bóg dopuścił, że właśnie wyjechał patrol huzarski; jeden łotr aż na trotuar z koniem wpadł, ciął chłopaka szablą przez głowę, a potem jeszcze pchnął w plecy.... Nawet mi ciała wydać nie chcieli, tu w wspólnym dole.... nawet nie wiem, w którym!... A przecież my rzemieślnicy i dostatni!

— Pani kochana, mojego zabili i ja zostałam z czworgiem dzieci, bez żadnych środków. Wyszedł na ulicę, bo cicho było zupełnie... Mieszkaliśmy na rogu Złotej..... i strzelono od Marszałkowskiej, Bóg wie jak te kule lecą!... padł na miejscu, ani zipnął!

— Co to dorosły człowiek, odzywa się z sfrasowaną twarzą mężczyzna, ale dzieci!... Co dziecko winne?... Moja Wikcia szła do magazynu, powiadam chłopakowi, co jest u mnie w terminie: odprowadź ją, w takie czasy niebezpiecznie samej dziewczynie. Poszli. Ledwie weszli na Leszno, idzie paruset ludzi z czerwonym sztandarem, powiedziały sobie dzieci, że bezpieczniej będzie skręcić na Solną i zaczęły biedz czemprędzej, aż tu djabli wiedzą skąd, wypadają kozacy, pędzą, walą nahajkami, kłują; dopadli do moich dziecin, one do bramy, dobijają się — zamknięta, a kozak pastwi się nad niemi, póki nie padły zalane krwią. Dziewczyna umarła nazajutrz, chłopakowi musieli odjąć rękę i nieprędko wyjdzie ze szpitala.

— Moją kobietę.... brzemienna była.... szła z kościoła....

— Mego ojca.... gwałtem zabrali go do pochodu.... i padł od pierwszej kuli.

— Mego brata zatłukli nahajkami, męczył się kilka dni.....

I tak opowiadają sobie krwawe dzieje, a w duszach wzrasta bunt i nienawiść do krzywdzicieli, a obok tego uczucia rozkrzewia się czułość wielka dla współpokrzywdzonych i miłość dla tego kraju, w którym każda chęć poprawy losu narodu musi przejść przez rózgi i być oblaną krwią, a który jednak zrywa się i dąży, ścieląc stosy ofiar, po których inni pną się wyżej ku szczęśliwszym warunkom.

Na wspólnej mogile wyrasta bujny, biały kwiat miłości bliźniego, polewają go łzy częste, pielęgnują ręce spracowane, ogrzewają serca płomienne. Przyjdzie dzień Zaduszny, przyjdzie rocznica mordów, stanie nad mogiłą policya, odsuwając tych, co przyjdą tu z kwiatami i modlitwą, jakby chciała przypominać narodowi, że nie nieszczęście losowe, nie epidemia złączyła te setki ciał, ale ten sam zabójca, który teraz stoi nad grobem ofiar, w popularny sposób ucząc patryjotyzmu.

XIX.

Tadeusz, po przyjeździe na wieś, zabrał się zaraz gorączkowo do pracy celem wywołania odpowiedniej akcyi o język polski w gminie. Znalazł grunt dobrze już przygotowany, bo Jan, z natury cichy i samodzielny pracownik, nie należący do organizacyi, nie apostołujący głośno swych przekonań, w promieniu najbliżej leżących interesów narodowych, umiał prowadzić wytrwałą i dzielną pracę.

Głównymi agitatorami byli: sołtys Łukasz Zając i Szymocha, który choć nie gospodarz, ale od lat dwudziestu pozostający na służbie w Męcińskich lasach, znany był i lubiony przez całą okolicę, a jako najstarszy abonent „Zorzy'' do pewnego stopnia wyrobiony politycznie i uważany za wyrocznię w kwestyach ogólnych.

W końcu lutego zjechali Gienio i Witold, rozpowiadając szeroko o wstrząsających wypadkach z ostatnich dni stycznia. Witold był podniecony i rozgadany jak nigdy; udało mu się zasłonić dwie damy przed nacierającym kozakiem; przejechał się na koźle, wioząc na siedzeniu mocno rozbawionego dorożkarza; nawymyślał podpitemu oficerowi, który zaczepił młodą panienkę; rozbił kamieniem szybę w mieszkaniu profesora Smrodowa, nauczyciela historyi, łotra z pod ciemnej gwiazdy, fałszującego najdonioślejsze

fakty; odprowadził pod rękę jakąś wystraszoną staruszkę, której nogi odmawiały posłuszeństwa i wiele podobnych faktów, które wybohaterzały go we własnem przekonaniu i napełniały dumą i zadowoleniem. Nadto zdolny, ale nie zbyt lubiący gimnazyalne studya, zamiłowany we wsi i polowaniu, rad był, że właśnie w tej porze nadspodziewanie przyjdzie mu spędzić czas dłuższy zdala od Warszawy.

Gienio przeciwnie, był niezwykle przygnębiony, zamyślony i apatyczny. Dużo przebywał w towarzystwie panienek, które smutkiem swym i skupieniem bardziej z nim harmonizowały. Wanda wiedziała już z gazet, że spodziewane zwycięstwo pod Sandepu, stało się jedną więcej klęską, ale osobiście nie otrzymała żadnej wiadomości od Wacława. To ją doprowadzało do najwyższego rozdrażnienia. Z natury słodka i łagodna, obecnie miewała chwile poirytowania i niecierpliwości nadzwyczajnej. Nie zajmowały ją książki i zwykłe domowe zajęcia; najchętniej jeszcze wychodziła z Marychną na wieś, odwiedzać izby żołnierek, czując, że w ten sposób spełnia życzenie narzeczonego. Przysłuchiwała się też chętnie konferencyom braci z chłopami. Ale po każdem takiem natężeniu woli przychodziły godziny apatyi, lub rozpaczy, w których wybuchała łkaniem i spazmatycznym płaczem. Marychna, nawykła bardziej panować nad sobą, choć po świeżo — przebytych wstrząśnieniach, choć dręczona złemi przeczuciami i niepokojem o brata, zdobywała się na siłę pocieszenia Wandy i pani Zofii, a czerpiąc zadowolenie w uczuciu narzeczonego i czułości rodziny, odpłacała im się serdecznością, ciepłem i troskliwością wielką. Dzięki temu bywały godziny miłe i pogodne wśród białych ścian Męcińskiego dworu, zmuszające do zapomnienia o szalonych burzach wstrząsających krajem i światem w owe czasy.

Gienio jeden, znalazłszy się wśród tego miłego grona, nie dostroił się do ogólnej harmonii. Usiłował znaleść się sam na sam z Tadeuszem, co nastąpiło dopiero, gdy wszyscy rozeszli się na spoczynek. Wszedł do pokoju brata i rzuciwszy się na krzesło, rzekł z punktu:

— Wiesz komu zawdzięczasz swoje uwolnienie?

Tadeusz podniósł pytające oczy z nad listowego papieru, na którym rzucał akwarele winiety.

— Ofierze Artura.

— Ofierze?

— Nie czytałeś żadnej gazety z 28-go stycznia?

— Nie, numery te nie doszły nas; zginęły na poczcie.

— Że nie otrzymaliście z poczty wiem; postarałem się o to, ale obawiałem się, że ponieważ wtenczas jechałeś z Warszawy, kupisz sobie w drodze jaką gazetę.

— Taki byłem zaabsorbowany wyjeżdżając z miasta, że zapomniałem zaopatrzyć się w nią, a na mniejszych stacyach nie sprzedają.

— Otóż wszystkie dzienniki z dnia 28-go stycznia pisały o spełnionej poprzedniego dnia napaści na żandarma Zubczyka, w której ten został ciężko ranny, napastnik zaś, aby nie wpaść w ręce policyi, sam odebrał sobie życie.

Tadeusz pobladł, tknięty jakiemś przeczuciem, niespokojnym wzrokiem śledząc twarz Eugeniusza.

— Przy zabójcy znaleziono legitymacyę....

— To był....

— Artur.

— Po cóż on go zabił?

— Żeby ocalić Marychnę od nieszczęścia i wrócić jej ciebie.

— Nie rozumiem.

— Zubczyk to ten oficer żandarmski, który aresztował ciebie, a potem Marychnę. Zakochał się w niej do tego stopnia, że aż postanowił postarać się, aby ją administracyjną drogą zesłano do Permu, gdzie on miał niebawem przybyć w wiadomym celu.... Artur nie widział innego wyjścia, jak zabić go.

— Boże, Boże!

— Byłem wtajemniczony w jego plan, nie wiedziałem tylko, kiedy będzie mógł go uskutecznić. W wilię zamachu, był u mnie, abym napisał list, niby od ciebie, w którym zręcznie brał na siebie autorstwo konferencyi, równie jak proklamacye.

Tadeusz począł chodzić po pokoju; zczerniał, zdawało się, że schudł w jednej chwili.

— I tyś to przyjął?

— Czemu nie miałem przyjąć? Widziałem, że możność spełnienia tej ofiary daje mu wielką pociechę.

Tadeusz siadł ciężko na łóżku.

— Nie przypuszczałem, że to tej miary człowiek.

— A ja mówiłem ci to zawsze.

— Umarł na miejscu?

— Tak.... Znaleziono przy nim prócz legitymacyi i prawdopodobnie domniemanego twego listu, kilka słów do mnie... Masz, czytaj.

Tadeusz wziął w rękę kopertę, na której duża kropla krwi spłynęła ukośnie. Wyjął papier, ale ręce mu drżały, podał więc go Gieniowi.

— Czytaj ty, mnie litery skaczą przed oczami.

— Napisał bardzo dyplomatycznie, tak, jakbym w nic nie był wtajemniczonym.

Odchrząknął i czytał niskim, zmatowanym głosem:

„Drogi Gieńku, nie przerażaj się i nie gorsz tem, co się stało. Zubczyk postanowił zgubić Marychnę, on to fałszywą denuncyacyą wepchnął ją do Cytadeli i nie zapierał się nawet, że póty będzie ją gnębił, póki nie zostanie jego. Mając do wyboru zbrodnię i śmierć, lub hańbę siostry, nie waham się wybrać pierwsze. Zbrodnia w tym wypadku przestaje być zbrodnią, śmierć staje się wybawieniem. O Marychnę się nie boję; zostanie pod Waszą poczciwą opieką; życia mi nie żal, bo już mi zbrzydło. Z Tobą, mój Przyjacielu, wierzę, że spotkamy się kiedyś, choć może nie poznamy, ale się odczujemy. Niech tobie życie będzie lekkiem, a mnie śmierć. Po otrzymaniu tego listu pójdź do mego mieszkania; klucz od biurka załączam. Pieniędzy nie znajdziesz; wszystko poszło na pogrzeb ojca; ostatnie 10 rubli dałem Marychnie. Ale są tam obrączki rodziców, zegarek złoty; ten ostatni sprzedaj i zapłać należność Tomaszowej, dodaj też jej co z mebli, lub lepiej z pościeli, bo to poczciwa babina i dosyć się ojca nadźwigała. O sobie wiem przynajmniej, że będę pochowany na koszt rządu. Biedny Ojczysko, nie spodziewał się po swym synu, że tak prędko za nim podąży i w takich warunkach. Mój druhu kochany!... Cóż ci powiedzieć więcej? Przedstawiaj Marychnie, tak jak ty umiesz rozsądnie brać rzeczy, że ofiara moja nie jest tak wielką, żeby miała nad nią bardzo desperować, że w tych warunkach życie większą byłoby ofiarą.

Ściskam Twoją poczciwą dłoń i dziękuję za tych dziesięć lat szczerej przyjaźni, która była jednym z nielicznych promieni, jakie rozjaśniły mi życie.

Twój

Artur Iżycki."

Zapanowało długie milczenie.

Tadeusz twarz ukrył w dłonie, Gienio patrzał zgnębiony na krwawą plamę na kopercie listu. Minęło pół godziny. Wreszcie Tadeusz podniósł się i wyciągając stawy, jak po ciężkim, męczącym śnie, zapytał głucho:

— Kiedy oddano ci ten list?

— W sobotę, nazajutrz po katastrofie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dwudziestoośmioletnie wygnanie

czyli

ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.

Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

22)

(Dokończenie).

Dla tego przeto w sześć dni wybrałem się, w czterdzieści zaś po dwudziestu czterech latach pobytu w Sybirze, a pięciu za granicą, przejechawszy 8128 wiorst od Irkutska, przybyłem dnia 13-go września, 1859 roku, do Warszawy!

Nie będę wam opisywał tych uczuć i wrażeń, jakie na mnie widok rodzinnej ziemi sprawił. Zbyt drażliwa jest i delikatna materya, opisywać to czego nie można, a na co sami patrzycie! Powiem tylko to, że siostrę moją, Rafalinę, siostrę czterech wygnańców!!! zastałem w niedostatku, obarczoną jeszcze sierotami! ani ojca, ani matki, ani żadnej opieki, nikogo nawet ze znajomych po tylu latach już nie znalazłem! Cóż mi więc pozostało? oto spojrzeć w niebo, westchnąć głęboko, i na tem — skończyć.

OBJAŚNIENIA.

Bagrenie*), jestto rodzaj rybołostwa, dwa razy zimową porą praktykujący się, na rzece dawniej Jaïk, dziś od uśmierzenia buntu Pugaczewa, Uralem zwanej; rzeka ta z gór uralskich początek swój biorąca, wpada do morza Kaspijskiego; wylew tego morza, i własność pływania ryb pod wodę, sprawiają, że ryba w niem będąca, wypływa w Ural; na tej rzece, pod samem miastem Uralskiem, jest zrobiona zastawa w sposób, że przeszkadzając biegowi wody, nie pozwala rybie za tę granicę przechodzić. Przestrzeń więc na 500 wiorst od Uralska do morza, jest wyłączną własnością Bralców, i nikt prócz nich nie ma tu prawa łowienia ryb.

W połowie listopada, gdy rzeka już zamarznie, Uralcy uzbrojeni siekierami, motykami, żelaznemi drągami i innemi stosownemi narzędziami, wychodzą na lód i tam robiąc nie wielkie otwory, dostają za pomocą bagrów z dna rzeki, zupełnie uśpioną rybę. Z dobytych ryb, tam zaraz na miejscu wyjmują kawior, solą go nie wiele, napełniają baryłki, i wraz z zamrożoną rybą, wiozą do Petersburga. Bagrenie to nie rozciągające się dalej od dwóch wiorst od miasta, krajowcy nazywają małe bagrenie, czyli bagrenie na prezent. Kancelarya wojskowa tu zaraz zakupuje potrzebną ilość ryb i kawioru, opłaca pocztowe konie, deleguje oficera, i posyłając go z tym prezentem, poleca mu, aby w dzień 18-go grudnia, w imieniny cara Mikołaja, podarunek ten już był na stole. Prócz tego, pewna ilość ryb i kawioru jest przeznaczona także i dla członków cesarskiej familii, ministrów i niektórych znaczniejszych dygnitarzy państwa; zwykle oficer i delegowany za ten prezent otrzymuje od solenizanta zegarek, lub pierścień, tabakierkę, albo 300 rubli gotówki.

Bagrenie drugie nazywa się wielkie, i odbywa się dzień zwykle po Nowym Roku, w którym wszyscy mający prawo bagryć, to jest z całej linii kozackiej zbierają się do miasta. Każdy kozak w służbie lub dymisyi będący, korzysta z niego, złożony zaś chorobą, lub w detencyi sądowej, albo wdowa, posyłają za siebie w liczbie jednego najemnika, uradnik w liczbie dwóch, oficer 1-go stopnia trzech i t. d. aż do ośmiu robotników może nająć pułkownik. Tak zgromadzeni kozacy, wybierają z pomiędzy siebie atamana. Ataman ten, któremu ten tytuł tylko w czasie bagrenia służy, powinien być doświadczony, i dobrze obznajmiony z rybołostwem.

Po odbytem na rzece nabożeństwie, rozdzielają się na części, stanowiąc pomiędzy sobą kompanię, i znaku oczekując. Znakiem tym jest wystrzał z działa, który jak tylko usłyszą, z nadzwyczajną bystrością i zręcznością rąbią lód, w zrobiony otwór kładą bagry, i za pomocą nich, na dnie rzeki uśpioną rybę dobywają; jeżeli zaś tu nic nie znajdą (co jednak rzadko się trafia) przechodzą na inne miejsce, i działając tak samo, w pięć minut mają już rybę. W taki sposób posuwając się wzdłuż po rzece, aż do morza, zajmują się tą pracą przez dwa miesiące.

Przeszło stu kupców tu pod tę porę naumyślnie przybyłych, zakupują na miejscu rybę i kawior, i zamarznięte po całej Moskwie i królestwie polskiem rozwożą.

Często się trafia, że trunkami rozweseleni kupcy targują u kozaków niedobytą jeszcze rybę, w takich razach sztuki jednej cena nad 20 rs. nie przechodzi, i tak grając zupełnie jakby loteryę, zdarza się, że dobyta ryba warta jest daleko więcej, lub przeciwnie, cena jej nie wynosi rubla; w obu wszakże wypadkach, sprawiedliwość oddać należy, że umowa święcie bywa spełnioną.

Ktoby zaś w nienaznaczonym czasie poważył się bagryć tajemnie, to prawa ich są tak srogie, że winnego w katorżne roboty posyłają. Ale nie było prawie wypadku, aby kto mogąc być na rozległości 500 wiorst nie widziany, dopuścił się tego.

Dawniej kancelarya wojskowa miała w swym ręku *jus gladii* (prawo miecza), ale dziś przywilej ten jest jej odjęty.

Dwa razy prócz tego w rok, to jest na wiosnę i w jesieni, wychodzą Uralcy w podobnejże ilości na rybołóstwo, ale już w łódkach i z sieciami.

Dochód roczny z tej rzeki, podług urzędowych wiadomości, 4 000 000 rubli asygnacyjnych nie przechodzi, co podzieliwszy pomiędzy 20 000 kozaków, po 200 rubli as. na jednego wypada; mniemanie przeto, jakoby Uralców rzeka ta wzbogacała, jest fałszywe, źródło ich zamożności z wymienionego handlu z Kirgizami pochodzi.

Dawniej Kirgizy, po za Uralem koczujący, tak byli ciemni, że potrzebując zboża lub mąki, a nie znając języka, nie wiedzieli także różnicy pomiędzy pudem a funtem, jako też mając potrzebę srebrnej monety, dla ozdoby szyi swych żon i córek, równie ceny nominalnej jej nie znali, i byle jaka srebrna blaszka z przewierconą dziurką, aby jej dostać, oddawali bydło, owce, konie i wielbłądy; z tego powodu korzystając Uralcy, niemiłosiernie ich oszukiwali, dopóki władza nie zabroniła im tego.

Dziś jeszcze można słyszeć dawne czasy opowiadającego Uralca, że handel z Kirgizami dopóty dla nich był korzystny dopóki ci ostatni nie zruszczeli.

Bajkał, jestto majestatyczne, niedaleko od Irkutska, bo tylko na 60 wiorst odległe jezioro, które gmin morzem nazywa; tradycya niesie, że irkutski gubernator, ś. p. Ławiński, nie poddający się gminnemu wyrażeniu, przepływając przez niego, nazwał go nie morzem, ale jeziorem. To rozhukane i zemstą pałające jezioro tak go ukarało, że nosząc go po swej powierzchni dni kilkanaście (rzecz dotąd niesłyszana, albowiem to jezioro ma 60 wiorst szerokości) mało że życia nie utracił. Od tego czasu krajowcy uprzedzają każdego z przepływających, aby się wystrzegał nazwać go jeziorem, lecz jeżeli który z urzędników przeprawić się mających, drażniąc pospólstwo, nazwie go tem imieniem, to przewoźnicy patrzą na niego z przestrachem, i chcąc niejako złagodzić gniew jego, tworzą znak krzyża świętego.

W języku mongolskim Baj-kał, znaczy morze święte.

KONIEC.

*) Bagrenie, pochodzi od słowa bagor, które oznacza hak żelazny, na długich żerdziach osadzany.

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

38)

(Ciąg dalszy.)

Pusty domek przemówił — i tym razem Anatol na dobrej znajdował się drodze.

Henryka odwieziono znowu do szpitala św. Antoniego i urzędnicy również wracali do domu.

— Zyskaliśmy dziś dużo — rzekł Anatol do dyrektora policyi. — Mam nadzieję, że teraz wkrótce dojdziemy do celu.

— Tak, chodzi tylko o to, — odpowiedział dyrektor, — abyśmy jak najprędzej mieli fałszywego Henryka Parces!

— Mamy przecież jego rysopis!

— Tak jest, ale pan wiesz, że hrabina Noirville oddaliła całą służbę i wszyscy ci ludzie rozeszli się Bóg wie, gdzie. Dziesięciu policyantów szuka już od wczoraj owego gnoma. Najwięcej utrudnia nam to, że nie znamy ani jego prawdziwego nazwiska, ani stosunków...

— Musimy go znaleść! — zawołał Anatol stanowczo.

Późno, jak zwykle udał się na spoczynek, lecz nie zasnął jeszcze, kiedy służący wbiegł do jego pokoju z oznajmieniem, że dyrektor policyi przybył w jakimś bardzo ważnym interesie.

ROZDZIAŁ 14.

Nieszczęśliwy Miret, który chęć zbogacenia się pieniędzmi Nory i Gastona śmiercią przypłacił, nie pozostawił po sobie ani bliskich, ani dalekich spadkobierców. Meble i rzeczy jego zostały więc opieczętowane, a papiery oddano sędziemu do przejrzenia.

Ale sędzia, mający dużo zajęcia, nie troszczył się zbytecznie o książki biednego agenta, raz jednak, chcąc się pozbyć stosu książek i listów, wziął jakiś papier do ręki i znalazł tam zaraz na wstępie nazwisko Loli Verdier. Niezwykłe to imię zaciekawiło go, zaczął więc czytać dalej i przekonał się, że to była kopia testamentu, którego warunki bardzo mu się dziwnemi wydały. Nie myślał jednak o niczem, tem mniej, że nazwisko Gerrel zupełnie mu było nieznanem. — Norę podczas procesu nazywano zawsze hrabiną Noirville.

Sędzia przeglądał teraz mimowoli z większą uwagą pozostałe papiery i nagle zerwał się z krzesła jak szalony.

Przeczytał list, który Miret napisał do prokuratora, a którego po dłuższym namyśle nie odesłał.

— Proces Noirville! — krzyknął.

Postanowił też natychmiast oddać ten list dyrektorowi policyi, wiedząc, że to najlpszy sposób odkrycia rzeczywistych zbrodniarzy. I pomimo spóźnionej pory pojechał sam do dyrektora i wręczył mu list Mireta.

— Dziękuję panu! — zawołał dyrektor, — wyrządziłeś pan nam wszystkim niezmierną przysługę. Już od kilku miesięcy zajmujemy się tą sprawą, lecz pomimo wszelkich starań nie zdołaliśmy wykryć morderców, nie mając żadnego punktu oparcia. Teraz zmieni się wszystko! Teraz mamy ich!

I pospieszył w tej samej chwili do pana Latour, zapominając, że północ już minęła.

— Co się stało? — zapytał Anatol, wchodząc do salonu, gdzie dyrektor na niego czekał.

Przybywam tu w sprawie procesu Noirville.

— Dowiedziałeś pan się czego nowego?

— Tak! Znam nazwiska morderców!

— Nie może być!

— Czytaj pan, — rzekł dyrektor, podając mu przywiezione z sobą papiery.

Anatol wziął dokumenty, rozłożył je i zbladł.

— Boże mój! — szepnął po chwili, — nie przebaczę sobie nigdy tej okropnej omyłki i cierpień, jakich ci nieszczęśliwi z mej winy doznali. Gdy pomyślę, że sędziowie przysięgli mogli ich uznać za winnych, gdy pomyślę, jakie oni przechodzić musieli męczarnie... A nawet i teraz, chociaż uznano ich za niewinnych, cięży na honorze ich zawsze jeszcze cień podejrzenia! Musieli uciekać z Paryża i ukrywać się przed znajomymi! O ja ciężko względem nich zawiniłem!

— Nieomylnym nikt nie jest, — pocieszał go dyrektor, — i ja sam byłem przekonany o ich winie! W każdym razie starałeś się wypełnić twoje obowiązki.....

— Tak, ale postąpiłem źle! Będzie to dla mnie nauką na przyszłość.

— A teraz, co pan najpierw zamierzasz uczynić?

— Najpierw musimy dać hrabinie Noirville i doktorowi Darby jak najświetniejsze zadośćuczynienie...

— Mamy wszelkie ku temu środki! Ten list jest nieoszacowany.

— Tak. Zacznijmy od aresztowania winowajców!

Anatol usiadł i wypełnił dwa formularze — rozkazy aresztowania Alfonsa Martin i Ludwiki Verdier.

— Za kilka godzin poślę żandarmów po nich, — rzekł dyrektor.

I pożegnał przyjaciela.

ROZDZIAŁ 15.

Anatol długo nie mógł się uspokoić. Im dłużej myślał nad otrzymanemi właśnie wiadomościami, tem wyraźniej poznawał błąd, jaki popełnił, oskarżając Norę i Lucyana o popełnienie tej zbrodni. Gdyby nie jego uprzedzenie i opór, byłby już dawno mógł wyśledzić prawdziwych winowajców.

Nazwiska Alfonsa Martin i Ludwiki Verdier nie były mu obcemi, znał je z procesu o kradzież. Przypomniał sobie teraz, że oboje zostali uwięzieni wskutek zeznania hrabiego Noirville i pojął nagle, że do chciwości dołączyła się jeszcze chęć zemsty i że nikt inny jak Alfons i Lola nie mógł zamordować Gastona.

Chodziło tylko jeszcze o to, aby wyśledzić, kto pod nazwiskiem Henryka Parces przyjął miejsce u hrabiego jako groom i wpuścił mordercę do pałacu.

Zaraz na drugi dzień udał się Anatol do pana Nivela, aby się dowiedzieć, czy testament hrabiego Garrela zawierał rzeczywiście takie warunki, jakie były umieszczone w kopji. Pan Nivel wypełnił życzenie jego z największą gorliwością.

I on poznał teraz całe położenie rzeczy. Loli i Alfonsowi musiało zależeć wiele na śmierci hrabiego, ale ani on ani Anatol nie mogli zrozumieć związku, w jakim były ze sobą zbrodnie popełnione na Gastonie i na biednym Henryku.

Anatol prosił notaryusza o ścisłe zachowanie wszystkiego w tajemnicy, nie chciał bowiem ostrzegać winowajców, a potem raz jeszcze udał się do szpitala św. Antoniego.

— Znasz młodego człowieka, — zapytał Henryka, — który się nazywa Alfons Martin?

— Nie, — napisał niemowa, — ale znam brata jego.

— Ah! Więc on ma brata!

— Tak!

— Starszego czy młodszego?

— Młodszego.

— W jakim on może być wieku?

— Ma około siedemnastu lat.

— Gdzie się z nim poznałeś?

— Przychodził często na podwórze do handlarza koni, u którego służyłem i pomagał mi przy koniach.

— Jak mu imię?

— Robert.

— Jest on wysoki, tęgi?

— Nie, takiego mniej więcej wzrostu jak ja!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Połączenie telefoniczne Nr. 25.

Adres telegramów: L. ZBORALSKI PLESCHEN.

Ł. Zboralski

Pleszew — (Pleschen.)

Hurtowny handel win założony w roku 1853

poleca znane ze swej dobroci, renomowane

wina górnowęgierskie

z lat najlepszych, w różnych odcieniach, począwszy od **Mk. 1,40** za litr w beczce aż do gatunków najszlachetniejszych.

Dla chorych i rekonwalescentów

stare wina węgierskie

w olbrzymim wyborze.

Cenniki oraz próbki win beczkowych na życzenie gratis i franko. 203

Podróżujących nie wysełam, łaskawe zlecenia upraszam wprost listownie.

Adres listów: L. Zboralski, Pleszew-Pleschen.



Jedyna jeneralna agentura

i główny skład 532

S. Zychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze.

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki, etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** 18

Kąpiele elekryczne świetlane.

Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka.

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński

Mój

Zakład dentystyczny

znajduje się teraz 157

przy ul. Nowej nr. 7 I (Nowy dom bazarowy.)

J. GRYSZCZYNSKI.

Klinika prywatna

Dr. Pomorskiego

dla chorych na cierpienia chirurgiczne i ortopedyczne,
dla chorych na cierpienia pęcherza i dla chorób kobiecych 159

Poznań Plac Piotra 4

(Petriplatz.)

TELEFON 893.

Przedsiębiorstwo

miernicze i melioracyjne

Pankalla & Krenz

Poznań, ul. Wiktoryi 2.

wykonuje wszelkie roboty w zakres miernictwa i melioracyi wchodzące po najniższych cenach, a mianowicie:

1. Roboty drenarskie,

wykonanie projektów do zawiązania spółek drenarskich, ulepszenia łąk przez osuszanie i nawadnianie, 40

2. Pomiary przez mierników zaprzysiężonych jako to: parcelowanie większych i mniejszych majątków i gospodarstw, regulacye granic, pomiary gruntów miejskich i podział na place budowlane itd.

Najlepszą, bo prawdziwie hygieniczną oraz przyjemną w smaku okazała się niezaprzeczenie woda do ust

„Tawit"

sporządzona podług przepisu lekarza dentysty p. A. Chwałkowskiego w Poznaniu. Do nabycia w aptekach i drogeryach za but. po 1,50 mk. Główny skład

w Zielonej Aptece

T. Witułskiego w Poznaniu, Wrocławska ul. 31.

Telefon 548. 21

Biuro prawnicze

Jasielskiego

w Poznaniu

ul. Wodna l. 4, I p.

spisuje **kontrakty** (mianowicie z wymiarami), skargi, podania do wszelkich władz, **obrony** w sprawach karnych, informacye w sprawach proces., **reklamacye** co do podatków i wojskowości, testamenta, regul. hipot. i spadki i zaciąga pożyczki landszaftowe i bankowe. 73

Pracownia robót kościelnych

WANDY GDECZYK

w Gnieźnie 122

ulica Tumska nr. 10.

poleca się łaskawym względom Przewielebnego Duchowieństwa oraz Szanownej Publiczności. Wykonuje wszelkie prace jako to, kapy, ornaty, stuły, bursy, birety, wszelką bieliznę kościelną, chorągwie kościelne i dla towarzystw. Wszystko po bardzo przystępnej cenie, wykonanie artystyczne.

„Talizman zdrowia i piękności" 80 fen. Ilustr. kucharz jarski (na post!) 1,10 m. Katech. zdrowotny dla małżeństwa 1 mk. Zwalczanie nerwowości 1,35 mk. Samopomoc w cierp. płciowych 1,85 mk. Życie płciowe i jego znaczenie 2,20 mk, Zielnik lekarski (125 kol. obr.) 5 mk. Do nabycia w lepszych księgarniach lub wprost w eksp. „Przew. Zdrowia": *Czarnowski, Berlin N.*, Weissenburgerstrasse 27. 113

Ważne!!

Kto chce założyć skład kolonialny, cygar i papierosów niech się ze zaufaniem uda do firmy hurtowej

Artur Gustowski 291

Opalenica.

Dom ten może udowodnić, że setki ma odbiorców po Księstwie i że konkuruje z najpierwszemi firmami tej branży. Na życzenie przyjeżdża zastępca firmy.

370 **Pająk**

pięcioramienny

gazowy, bronzowany, prawie nowy, jest **nadzwyczaj tanio do nabycia.** Bliższych szczegółów udzieli Administracya „Pracy", Rycerska 38, I piętro.

Poszukuję od 1-go Lipca lub później 387

trzy

dzielne sprzedawaczki

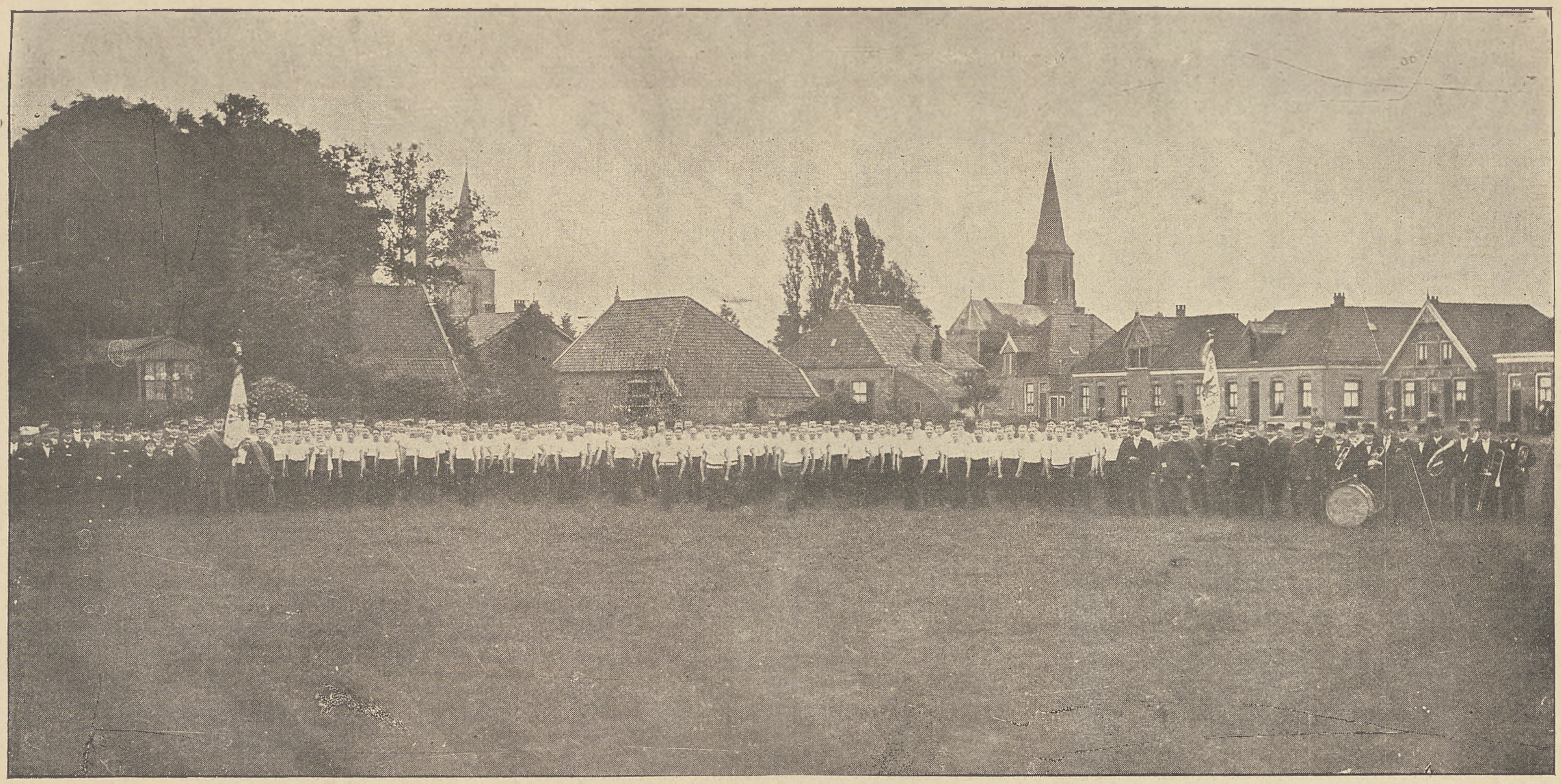
do towarów krótkich i konfekcyi damskiej.

Od 1-go Sierpnia

zdolną kasyerkę.

Oferty z dołącz. świadectw, fotografią i żądaniem pensyi uprasza

W. Jarczewski, Stargard (Pr. Stargard Westpr.)



Pamiątka Zlotu Okręgu IX Westfalskiego Sokołów Polskich w państwie niem. odbytego dnia 3 i 4-go czerwca 1906 r. w Winterswijk w Holandyi.

Obraz przedstawia chwilę, gdy ćwiczący druhowie postawili się w kolumnę z odstępem jednego kroku przed rozpoczęciem ćwiczeń. Na prawym brzegu widzimy orkiestrę polską. Przy niej pod sztandarem ustawił się Wydział Okręgu IX z prezesem swym d. Bernardem Zmudzińskim na czele. Przed środkiem kolumny stoji d. naczelnik z trąbką przewieszoną przez ramię. Całość uzupełnia z lewego brzegu sztandar, poza którym grupują się członkowie umundurowani wprawdzie, lecz niećwiczący. Radość i zadowolnienie wzbudza dzielna postawa ćwiczących, wśród których zauważyć można wielu starszych wiekiem. Było tych dzielnych ćwiczących 160 i kilku. A wszystko górnicy, rzemieślnicy i robotnicy, gdyż inteligencyi polskiej zawodowej brak na emigracyi zupełnie. W głębi zauważyć można kościoły katolicki i ewangelicki gościnnego holenderskiego miasteczka.

Drukiem „Pracy“.

DZIAŁ ILLUSTROWANY.

Obrona Częstochowy.

Wspomnienie dziejowe w 250 rocznicę.
Napisał Fr. Jaworski.

(Ciąg dalszy.)

Dostojna cisza zalegała wszystkie zbocza Jasnogóry w letnich i jesiennych miesiącach roku 1655, właśnie wtenczas, gdy łomot wielkiej wojny rozlegał się daleko i szeroko w Rzeczypospolitej polskiej.

Były to straszne czasy. We wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej rozgorzała wojna, której wspomnienie dziś jeszcze krwawym wstydem zalewa oblicze. Bo oto na czele wojsk nieprzyjacielskich szwedzkich, obok króla Karola Gustawa szedł zdrajca, wojewoda poznański Krzysztof Opaliński, pan możny, pisarz znany, bez jednego wystrzału oddawał całą Wielkopolskę Szwedom, a równocześnie hetman wielki litewski Janusz Radziwiłł podpisywał w Kiejdanach haniebny akt, mocą którego całą Litwę rzucał w darze nieprzyjacielowi. Moskale już przedtem byli panami Wilna, Grodna i Kowna, a od wschodu, od stepów Ukrainy maszerował na Ruś kozacki hetman Bohdan Chmielnicki razem z posiłkową armią moskiewską — czterdziestu tysiącami Moskali i począł oblegać jej stolicę Lwów. Najstraszniejsze było to, że cały prawie naród, razem ze wszystkiem, co w nim było najlepszego, najświetniejszego, biegł ochoczo do obozu Karola Gustawa i jego generałów, a oświadczał głośno, że Szweda pragnie mieć królem, jemu przysięgę wierności składa i wiernopoddańcze hołdy.

A wróg się chełpił, nadymał zdobyczą, patrzył z góry i z pogardą na naród tak płochy, że jednej chwili porzucić był gotów swego króla Jana Kazimierza, który przez wszystkich opuszczony, z garstką wiernych sobie osób szukać musiał schronienia aż na Śląsku, na wygnaniu.

Wszystkie te wiadomości obsiadły jak czarne ptactwo klasztor Częstochowski i garstkę siedzących w nim mnichów, szlachty i zaciężnej piechoty. Ale spokój tam jeszcze panował jako na miejscu święconem, i pewność, że wróg nie odważy się podnieść ręki na przybytek czcią powszechną otoczony. Nie przerywano więc nabożeństwa, bram nie zamykano gromadom ludu, które w tak ciężkiej chwili szukały otuchy, pomocy i nadziei u stóp cudownego obrazu.

Bogate jednak skarby kościoła i klasztoru obudziły chciwość u Szwedów. Ponadto i sama Częstochowa, jako twierdza prawie nadgraniczna, mogłaby wojskom nieprzyjacielskim dać dogodny punkt oparcia. Wyszedł więc rozkaz do głównodowodzącego wojskami szwedzkiemi, w tamtych stronach generała Burchlarda Millera, aby zajął Częstochowę.

Stary wyga żołnierz jeszcze z trzydziestoletniej wojny do rabunku przyzwyczajony i rabunkiem żyjący, zrozumiał jednak, że podniesienie ręki na Częstochowę zwróci przeciwko Szwedom cały naród. Dlatego sam nie chciał być pierwszym pod murami Częstochowy, ale wysłał wprzód na czele czterotysięcznego oddziału hr. Wejharda Wrzeszczowicza, katolika, Czecha, dawniej dzierżawcę żup wielickich i dobrego znajomego braci klasztornej jasnogórskiej, aby w spokoju zajął klasztor i otworzył jego bramy Szwedom.

Jak bardzo często cudzoziemcy, odpłacał i Wrzeszczowicz czarną niewdzięczność dobrodziejstwa, które otrzymał od Rzeczypospolitej. Na sejmie warszawskim przed kilku laty zaledwie dano mu w dzierżawę żupy wielickie, obdarzono szlachectwem polskiem, a on oto w pierwszem zaraz nieszczęściu stanął po stronie nieprzyjaciół, a nawet podjął się tego, czego oni sami jąć się nie śmieli.



Widok wieży jasnogórskiej przed pożarem w 1900-ym roku.

Głuche wieści o zamiarach Millera doszły tymczasem i do klasztoru Częstochowskiego, do którego schroniło się kilkudziesięciu szlachty, między innymi zaś miecznik sieradzki Stefan Zamoyski i Piotr Czarniecki. Oni to, mimo, że sami nie wierzyli w niebezpieczeństwo, doradzali zakonnikom jak największą ostrożność i baczność, skutkiem czego uzupełniono braki w fortyfikacyach i bramy na noc zamykano. Zewsząd też sprowadzano broń, kule i proch strzelniczy.

Była już dziesiąta godzina w noc dnia 8 listopada 1655 roku. Cisza zaległa krużganki klasztorne, a z wyjątkiem kilku warty, wszyscy pogrążeni już byli w śnie głębokim. Nagle przeraźliwy huk trąb, bębnów i kotłów wstrząsnął powietrzem i grzmiał w tej ciszy nocnej ponuro, strasznie, niby zwiastun końca świata. Pobudzili się przerażeni zakonnicy i szlachta, porywając się na równe nogi, a zaledwie potrafiono rozeznać w ciemnościach, że to wojsko jakoweś stoi tuż przed samą Częstochową, gdy wtem do bramy zakołatał trębacz z listem.

Przyjął to pismo przeor klasztoru ks. Augustyn Kordecki, kryjący pod habitem zakonnym mężne i nieustraszone serce, zgromadził się cały konwent w refektarzu, przybył też Zamoyski i co znamienitsi ze szlachty. Po-

częto odczytywać list, co tak nie w porę przerwał nocny spoczynek.

Było to pisanie od Wrzeszczowicza obłudne, grzecznemi słowami nanizane, a podstępne przytem i chytre. Rzekłbyś, wilk przebrał się w owczą skórę, bo oto Wrzeszczowicz przypominać począł swą dawną przyjaźń z klasztorem, ro te warunki, między którymi znajdował się także punkt, że załoga wykonać ma przysięgę wierności dla Karola Gustawa, zostały odrzucone, Wrzeszczowicz okazał się natychmiast takim, jakim był w rzeczywistości. Spalił folwarki klasztorne, zagrzmiał kilkakrotnie z dział i wrócił do Millera.

krokiem się nie mógł ruszyć z wyznaczonych mu stanowisk, a z innych panów, jeden tylko Stanisław Warszycki, kasztelan krakowski, przysłał klasztorowi częstochowskiemu dwanaście wielkich dział do obrony.

Tak więc Częstochowa zdaną została na własne tylko siły i modły, a to



Widok wieży jasnogórskiej po pożarze w dniu 15-ym sierpnia 1900-go roku.

swe dary i swoją zawsze niby wielką miłość dla Najświętszej Panny. A i teraz, pisał dalej, nie przychodzi jako wróg, ale przyjacielem jest szczerym, bo chce obsadzić wojskiem swem klasztor Jasnogórski, aby go snać jaka krzywda od heretyckich Szwedów nie spotkała. Idzie bowiem zaraz za nim heretycki generał Miller z wielką potęgą i wielkie sprawi zniszczenie i rabunek, skoro twierdzę jasnogórską siłą zdobędzie.

Jeżeli jednak niektórzy z prostodusznych Paulinów wierzyli obłudnym zapewnieniom zdrajcy, to ks. Augustyn Kordecki i doświadczona wojennych podstępów szlachta od razu przejrzała skryte zamiary nieprzyjaciela, a na grzeczny list odpowiedziała grzecznem poselstwem, które zanieśli Wrzeszczowiczowi w odpowiedzi dwaj zakonnicy, że aczkolwiek wierzą w przyjazne zapewnienia, to jeszcze silniej się ta wiara w przyjaźń Wrzeszczewiczowa umocni, skoro on sobie pójdzie od klasztoru, tak jak tu przyszedł i nie będzie trwogi rozsiewał po nocy.

Wrzeszczowicz odpowiedział na to poselstwo nowemi zapewnieniami życzliwości, a dnia następnego podał warunki, pod którymi twierdza jasnogórska miałaby się oddać w moc jego. Sko-

Trwoga wielka zapanowała na Jasnejgórze. Jedynym ratunkiem i tarczą ochronną świętego miejsca stał się cudowny obraz, chociaż Kordecki nie zaniedbał najmniejszej rzeczy, któraby mogła niebezpieczeństwo odwrócić, albo je siłą odeprzeć. Zwyczajem więc praktykowanym przez komendantów twierdz, kazał spalić wszystkie domy, budy drewniane na odległość kuli działowej, a to w tym celu, aby nieprzyjaciel nie mógł mieć z nich ochrony przed pociskami armat klasztornych. Wiedząc dalej, że pokorą wiele zyskać można, tem bardziej, że jako zakonnik sam pokorę ślubował, rozesłał listy do generała Wittenberga z kornem przypomnieniem żelaznego listu Karola Gustawa, mocą którego Częstochowa wolną być miała od postojów szwedzkich, samemu nawet Wrzeszczowiczowi posłał wizerunek Matki Boskiej na blasze miedzianej, myśląc, że tem zaciętość jago skruszy. Biegły dalej z kancellaryi przeorskiej błagalne listy o pomoc i ratunek do króla Jana Kazimierza, do Stefana Czarnieckiego, do wszystkich możnych panów w okolicy. Ale Jan Kazimierz sam był wygnańcem bezsilnym na Śląsku, Stefan Czarniecki po walecznej obronie Krakowa według zaprzysiężonych traktatów ani

w chwlii tak straszliwie ponurej, że w całej Polsce w trzech tylko miejscach gorzała nadzieja lepszej przyszłości: we Lwowie, którego chrobre mieszczaństwo dotrzymało wiary Janowi Kazimierzowi w sześciotygodniowem strasznem oblężeniu przez Chmielnickiego i Buturlina — w piersiach kanonika kapituły krakowskiej ks. Szymona Starowolskiego, który oprowadzając Karola Gustawa po katedrze na Wawelu, wyrzekł pamiętne słowa, że „fortuna jest zwodnicza, Bóg jeden niezmienny" — i wreszcie w piersiach ks. Augustyna Kordeckiego.

Około 15-go listopada już powszechnie było wiadomem w klasztorze, że na Częstochowę ciągnie generał Miller z 19 armatami i 2000 żołnierzami, jak to dzisiaj wiemy, chociaż wtedy mówiono, że ich było aż 9000, bo tak wielkie i niezliczone zdawało się to wojsko wobec małej załogi obrońców. Hrabia Wrzeszczowicz, landgraf Heski i pułkownik Sadowski dowodzili poszczególnymi oddziałami, a z tyłu za armią szwedzką szły dwie Szwedowi oddane chorągwie polskie Zbrożka i Kalinowskiego. Po raz pierwszy zakosztowali żołnierze polscy gorzkiego chleba niewoli, musząc z rozkazania obcego władcy ważyć się na święto-

kradzkie przedsięwzięcie i podnosić dłoń swą na miejsce, które każdy z nich czcił i kochał serdecznie.

Dnia 18-go listopada odbyła się w klasztorze wielka rada wojenna i opatrunek sił zbrojnych, rozstawionych po wałach klasztornych. Było tam wszystkiego czterechset ludzi zdolnych jako tako do noszenia broni, a w tem sześćdziesięciu ośmiu zakonników, stu sześćdziesięciu żołnierzy regularnych i pięćdziesięciu szlachty, którą przewodził Piotr Czarnecki. Że nie upadli na duchu, to tylko zasługa ks. Augustyna Kordeckiego, który dwoił się i troił tam, gdzie potrzeba było dodać ufności walczącym, odwagi zrozpaczonym, nadziei wątpiącym. I zaraz skoro tylko wojska szwedzkie stanęły dnia 18-go listopada pod Częstochową i swoim zwyczajem rabować poczęły bezbronną ludność okoliczną, ks. Kordecki rozpoczął tak skuteczne bombardowanie kup żołnierskich, że tego samego wieczora Miller przysłał posłów z żądaniem zawieszenia broni. Nieustraszony przeor odpowiedział na to, że ognia zaniecha pod warunkiem, jeżeli Miller wojska swe od murów oddali. Gdy zaś tego nie chciał uczynić, padły z klasztoru ogniste granaty na folwark, w którym się już ulokowali Szwedzi i zapaliły go, siejąc między żołnierstwo trwogę i przestrach, zwłaszcza gdy od ognia poczęły wybuchać dopiero co przywiezione zapasy prochu.

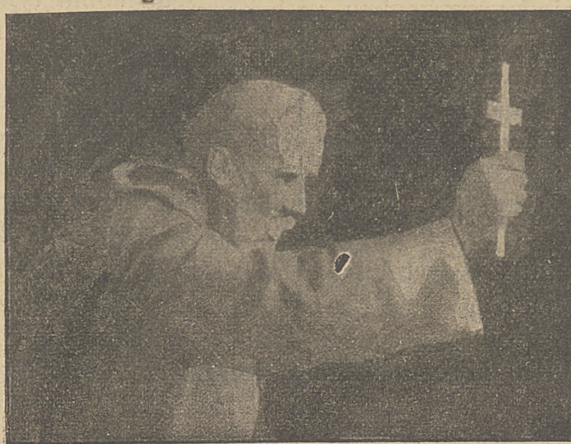
Chylący się ku zachodowi dzień nie przyniósł Szwedom zwycięstwa, a tylko klęskę. Nadzieje łupów, a przynajmniej wygodnego noclegu w zabudowaniach klasztornych zawiodła go. Legł więc żołnierz szwedzki w chłodzie, na rozmokłej późną jesienią ziemi, czekając ranka chmurnego, szarego, beznadziejnego.

A i generał Miller, z całym swoim sztabem, przyszedł do przekonania, że za jednym zamachem nie uda się wziąć „kurnika“, jak pogardliwie twierdzę częstochowską nazywał on, który tyle już miast zdobył i tak wielką sobie sławę zjednał u swoich. Zrozumiał, że trzeba będzie przystąpić do regularnego oblężenia, zakładać obóz, sypać szańce, grzmieć z dział całymi dniami...

Liczył jednak na to, że strach może jeszcze pokona zakonników i załogę...

Strach jednak pozostał daleko od miejsca świętego. Owszem dziwna jakaś i niezwykła moc ogarnęła szczupłą załogę niewysłowionym zapałem i gotowością na śmierć, poświęcenie, na wszystkie okropności wojny. Patrzono spokojnie, jak Miller rozkładał swe siły, jak żołnierze szwedzcy zajmowali wszystkie miejsca, dające jaką taką osłonę przed działami klasztornemi, jak za ścianami domów i na poddaszach wybijano dziury strzelnicowe, jak między domami i płotami ustawiano działa. A gdy wreszcie huknęły wszystkie naraz armaty szwedzkie i zagrała niezwykła a straszna nad klasztorem muzyka wojny, odpowiedzieli na nią puszkarze klasztorni tak ochoczo i celnie, że spłonęła i stodoła, obrócona na prędce przez Szwedów w bastyon i pokotem się kładli uciekający stamtąd nieprzyjaciele.

(Dokończenie nastąpi.)



Ks. Kordecki błogosławi obrońców Jasnej Góry.
(Z rzeźby Teofili Certowiczówny w kościele na Skałce w Krakowie).

Franciszkanie i Bernardyni w Nowem nad Wisłą.

Przyczynek do historyi południowego Pomorza.

Napisał Konstanty Kościński.

(Ciąg dalszy).

IV.

Skarbiec.

1. Podczas drugiej wojny szwedzkiej (1655—1660) wywiózł ówczesny wicestarosta nowski Jan Montryn srebra klasztorne do Gdańska, aby je zachować przed nieprzyjacielem. Szczęściem to było dla klasztoru, gdyż byłyby srebra te przy złupieniu miasta dnia 26-go stycznia 1656 r. z pewnością zaginęły. Po usunięciu niebezpieczeństwa sprowadzono je znowu. Przedstawiały one 4000 złotych wartości [1]).

2. Jerzy Konopacki, starosta mitawski z żoną swoją Anną z Konarskich darował około 1603 roku klasztorowi 8 wielkich świeczników srebrnych na wielki ołtarz i naczynie z miednicę również srebrną (Fankidejski: Utracone kościoły).

3. Podług wyszczególnienia sprzętów kościoła bernardyńskiego, które przedstawił proboszcz Bieszk dnia 19 sierpnia 1821 roku, generalnemu officyałowi Rossołkiewiczowi, posiadał wtedy jeszcze klasztor:

1. Monstrancyą srebrną. Ta znajduje się teraz w kościele parafialnym nowskim.
2. Krzyż srebrny cum ligno vitae — także obecnie w rzeczonym kościele.
3. Puszkę srebrną.
4. Kielich srebrny wyzłacany.
5. Kielich drugi srebrny wyzłacany i pozłacany.
6. Kielich trzeci srebrny wyzłacany.
7. Patenę do chorych srebrną wyzłacaną.

W owym wyszczególnieniu zaproponował ks. Bieszk, aby krzyż (nr. 2) dla relikwii i kielich jeden (nr. 5) jako i patenę (nr. 7) przekazać kościołowi parafialnemu nowskiemu, puszkę zaś srebrną (nr. 3) i kielich (nr. 4) oddać kościołowi w Świeciu, który okradziono ze sreber; kielich trzeci srebrny (nr. 6) natomiast pozostawić księdzu jubilatowi Waxowi, dla jego spowiednika, (który tam celebrować zwykł), a po śmierci księdza Waxa oddać do kościoła w Jeżewie.

V.

Zabudowania klasztorne. [2])

Klasztor.

Właściwy klasztor składał się z dwóch z palonej cegły wzniesionych, nietynkowanych budynków pod dachówką, mających suteryn, parter i piętro a dochodzących nieomal do wysokości kościoła klasztornego. Budynki te, w prosty kąt ze sobą spojone, leżały obok kościoła, po stronie jego południowej. Pierwszy, na szczycie pagórku, dochodził jednym końcem prawie do wschodniego szczytu kościel-

[1]) Maerker str. 131.

[2]) Z opowieści około dziewięćdziesięcioletniego obywatela nowskiego Klemensa Stoałowskiego w r. 1892.

nego, tworząc niejako ciąg dalszy budowli. Na dole były piwnice, nad niemi leżał parter. Tu zajmował jednę celę gwardyan, w której mieszkał do zgonu (roku 1822) ostatni zakonnik Wax; za nią, dalej ku południowi, leżała śpiżarnia a następnie sień, z której na południe wychodziły drzwi na oborę, a na wschód do ogrodu. Obok śpiżarni był dzwonek, którego odgłos regulował zajęcie zakonne. Na stronie zachodniej ciągnął się, z oknami na ulicę, w całej długości domu kurytarz. Podobny kurytarz był i na piętrze, a ponad celą gwardyana i śpiżarnią były cele zakonników z widokami na Wisłę. Z piętra wiodły schody na dół do drzwiczek kościelnych.

Drugi dom tworzył paralelę z kościołem. Szczytem swym wschodnim stykał się on bezpośrednio z budynkiem pierwszym, a szczytem zachodnim, w którym mieścił się zegar, graniczył z ulicą w tej samej linii co kościół. Po stronie północnej znajdował się na parterze kurytarz z trzema lub czterema oknami na ogródek (ku kościołowi). Od ulicy mieściła się kuchnia z drzwiami na oborę; za nią był refektarz, w którym Ojcowie jadali. Za refektarzem wiodły schody na piętro. Tu już nie po stronie, lecz przez środek budynku prowadził kurytarz, a po lewej i prawej stronie takowego były cele zakonników.

Cel wszystkich w obu budynkach było około 50.

Pomiędzy budynkiem ostatnim a kościołem leżał, stykając się z ulicą, domek również z cegły czerwonej wystawiony, w którym mieszkał odźwierny. Była tu też izdebka, w której składano trupa aż do pogrzebu.

Wszystkie powyższe budynki klasztorne stanowiły niejako kwadrat z kościołem się stykający, w pośrodku którego był mały ogródek.

Od ulicy stał mur obwodowy, w którym były drzwi, obok domku odźwiernego.

Klasztorne budynki gospodarcze leżały po za klasztorem na południe ku „Garbuzom". Były tam:

a) słodownia i browar[3]) ze studnią przy nim;
b) stajnia klasztorna,
c) stodoła, już po za murem miejskim[4]), do stodoły wiodła furtka w murze miejskim wybita. Dla lepszego otwierania wybitu stodoły nabył klasztor 1782 r. dnia 13 marca kawałek gruntu za 10 pruskich złotych od Józefa Gliszczyńskiego i Antoniego Grzędowskiego.
d) chałupa ze stajenką w ogrodzie, istniejąca jeszcze 1820 roku.

Grunta.

a) plac pod kościołem i klasztorem, jako też pod wyrażonemi powyżej budynkami gospodarczemi;
b) ogródek pomiędzy kościołem i klasztorem;
c) ogród owocowy duży na wzgórzu ku Wiśle, do którego drzwi z klasztoru wiodły; orzechy włoskie dziś jeszcze stojące są pamiątką tego ogrodu;
d) ogród mały,
e) 36 mórg łąk, od „klina żołnierskiego" ku rowu w nizinach; cena licytacyjna dzierzawy w 1822 roku wynosiła 219 tal. 29 groszy, a 1826 roku 272 tal. 26 gr. $8^4/_5$ fen,
f) łąka mała w nizinach pod Trelem, obejmująca 12 mórg; dzierżawa wynosiła 1822 roku 43 tal., a 1826 roku 32 tal.,
g) łąka obok Kniatka, około $2^1/_2$ morgi, na której zastrzeżono wolne pastwisko dla jednej krowy jubilata Waxa; dzierżawa wynosiła 1822 roku 30 tal., 1826 roku 22 tal.

Wszelkie dochody z majątku klasztornego obliczyła landratura świecka w swoim zarysie z dnia 20. 2. 1820 r. na 805 tal. rocznie. (Reskrypt rządu kwidzyńskiego do księdza Bieszka z dnia 1. 11. 1821 roku).

VI.

Dobrodzieje, legaty, fundacye i kapitały klasztoru.

Wspomnieliśmy już w kronice o znakomitych dobrodziejach klasztoru nowskiego; tu podajemy jeszcze kilka innych wiadomości:

Roku 1311 odebrał klasztor nowski jakiś legat, o którym jednakże bliższe szczegóły nie są wiadome.

Roku 1471 legowano 1 grzywnę i $12^1/_2$ łokci płótna (Märcker str. 129).

Roku 1475 legowano 10 grzywien na budowlę (Märcker str. 129).

Roku 1475 udali się Mikołaj Langehans i żona jego na pielgrzymkę do Rzymu. Na przypadek śmierci w drodze oddali ogród swój chmielny i winny klasztorowi, zaznaczając, że jeśli który z nich wróci żyw, użytkować będzie ów ogród aż do śmierci. (Frölicha wyciągi 1. N. S. 180).

Roku 1483 wpłynęło $^1/_2$ funta wosku. (Märcker str. 129.)

Roku 1501 wpłynęło 18 grzywien (N. A. 25).

Roku 1503 darowali obywatele nowscy, małżonkowie Gelbauch, dobytek swój ruchomy i nieruchomy. Gwardyan natomiast zobowiązał się swojem i oraz swoich następców imieniem, zaopatrywać ofiarodawców aż do śmierci w jedzenie, picie, mieszkanie i opał. (Frölicha wyciągi 1. N. S. 370.)

Roku 1519 oddaje wdowa Katarzyna Cuitryn majątek swój klasztorowi i zastrzega sobie tylko niezbędne pożywienie i mieszkanie w klasztorze. (Frölicha wyciągi 2. N. S. 255).

Roku 1556 legowano w testamencie dla kościoła klasztornego dwie grzywny (księga ławnicza nowska 3 str. 351 podług Frölicha wyciągów).

Roku 1619, dnia 27. 9. sporządzono w księgach nowskich akt, podług którego pobierać miał klasztor 8 złotych procentu od 100 złotych summy na wieczne czasy w Krzywinie lokowanej[5]).

Roku 1639 zapłaciła kamelarya nowska do klasztoru od 200 złotych legacyi 12 zł. interesów[6]).

Roku 1654 było 2500 złotych legacyi Werdenow w połowie do kościoła parafialnego, w drugiej zaś do kościoła Ojców Bernardynów przeznaczonej, na dobrach Bojanie, Kielro, Szynwałda i innych w województwie pomorskiem ciążącej. Summę tę przysądziła 1654 r. królewska komisya i do niej odnosi się dekret w Rynkówce 1698 roku expedyowany. (Status Ecclesiae ks. May owskiego z roku 1733).

Roku 1658 dostały się do klasztoru srebra z pozostałości po Małkowskich; tegóż samego roku: 30 złotych, 446 zł. 9 gr., 300 zł. 5 gr., 15 zł., 5 zł.

Roku 1659 dnia 8. 6. czyni panna Anna Muszkówna w Nowem testament, legując między innemi do klasztoru nowskiego Ojcom Bernardynom 100 zł. które mają być na msze święte czytane, póki summy stanie. (Akta luźne).

Roku 1708 dnia 7. 11. dostał klasztor 17 złotych z dóbr niegdyś Jerzego Chorążego, obywatela nowskiego t. j. z ogrodu przed bramą wiślaną (Księga akcydencyi kościoła parafialnego).

Roku 1736, dnia 23. 6. zapisano 600 złotych na dobrach Smętowo (w dzisiejszym powiecie kwidzyńskim) na wieczne czasy dla klasztoru, od których pobierało się 30 złotych procentu.

Roku 1744, dnia 9. 7. oblatowano do akt miejskich nowskich zapis 1000 złotych na mieście Grudziądzu ciążących, od których 50 złotych procentu się należało.

Roku 1744, dnia 15. 6. zeznaje przed sądem ławniczym nowskim wielm. pan

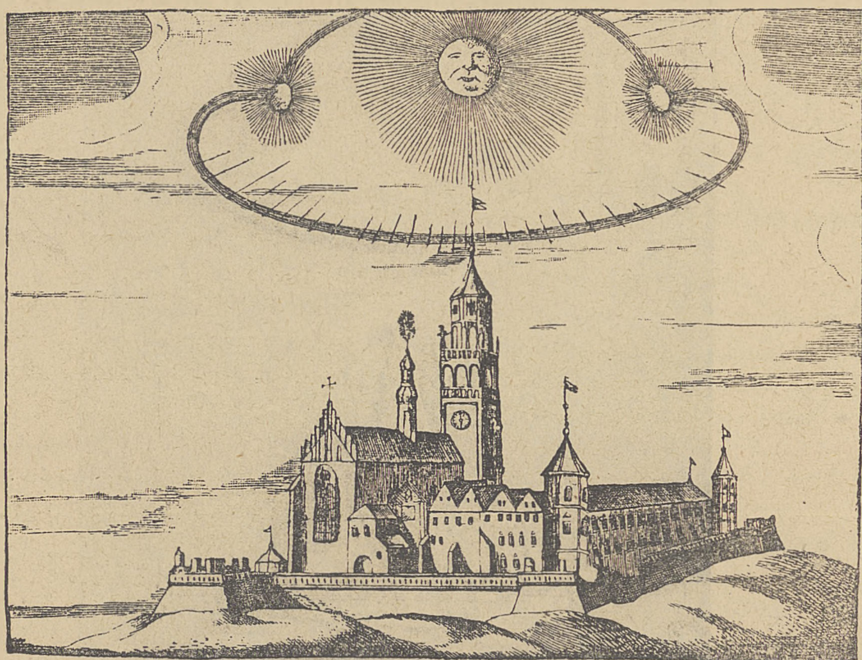
[3]) R. 1892 stała tam stajnia kupca Smolińskiego.

[4]) R. 1892 mieszkał w tem miejscu Fuchs.

[5]) Wiadomości z r. 1619, 1736, 1744, wyjęte z księgi „Complementum Past. litter."

[6]) Rejestr wydatków kamelaryjnych z r. 1639.

Jan Żukowski, rejent grodzki województwa pomorskiego, iż 1000 złotych polskich odebrawszy od wielm pana Piotra Koberskiego, takowe na rzecz konwentu nowskiego na wszelkich swych dobrach, mianowicie na Żukowie w dystrykcie człuchowskim zapisuje. Za procent Ojcowie Bernardyni odprawiać mają 50 mszy św. za dusze rzeczonego Piotra Koberskiego, rodziców i krewnych jego.



Kościół i klasztor N. P. Maryi Częstochowskiej według bardzo starego sztychu.

Roku 1746 spłacił Franciszek Czapski, dziedzic części dóbr Jańskich na mocy działów z dnia 5. 8. 150 złotych klasztorowi nowskiemu[7]).

Roku 1746 Jakób i Ludwika Zboińscy, małżonkowie, posiadający na ówczas starostwo nowskie, w przywileju na młyn i piłę w borach nowskich[8]) dnia 4. 4. wystawionym, zapewniają Ojcom Bernardynom nowskim wolne mlewo.

Roku 1773 użytkowali zakonnicy za zezwoleniem dworu Bękowskiego wspólnie z tymże dworem jezioro na grutach rychławskich. Rychława należała wtedy do Bękowa.

Roku 1784, dnia 31. 7. przyszła przed powiatową komisyą sprawiedliwości w Starogardzie (Mevius, Heiinzius) pomiędzy Józefem Martz jako upełnomocowanym klasztoru z jednej i Ksawerym Zakrzewskim, dziedzicem dóbr kozielskich z drugiej strony, ugoda do skutku, podług której Zakrzewski zobowiązał się konwentowi 200 złotych wypłacić. Ugodę potwierdził królewski rząd w Kwidzynie 16. 2. 1787, przez co proces umorzono. (Akta luźne kościoła parafialnego.)

Roku 1786, dnia 30. 11. wystawia Jan Lewald-Jezierski obligacyą na 200 tal. czyli 600 złotych, zastawiając dobra swe Bobrowo w brodnickim powiecie. Kapitał ten pochodzi podobno z legacyi Jana Czapskiego, dawniejszego właściciela tychże dóbr. (Reskr. gen. wik. w Pelplinie z dnia 4. 11. 1852 roku w aktach parafii nowskiej p. t. „das Bernhardinerkloster“).

Roku 1792 ceduje klasztorowi szambelan Franciszek Ksawery Zakrzewski, dziedzic Kozielca, 333 tal. 30 gr. zapisanych na domostwie Krayniskich przy rynku . Posesya ta należała się roku 1892 wdowie Altmann.

Roku 1818 winni byli sukcesorzy Józefa Drogosława hr. Skorzewskiego, starosty gnieźnieńskiego (zmarłego w Bobrówku pod Czempinem dnia 8. 5. 1809) drobną jakąś sumę klasztorowi. Skórzewscy posiadali wtedy dobra Bękowo.

Roku 1818, dnia 8. 6. kwituje Michał Bartknecht w Nowem z odbioru 33 tal. 30 gr. legatu Richterowskiego, które administrator klasztoru, ks. proboszcz Bieszk, za procentem 6 od sta mu pożyczył. (Kopia w rachunkach klasztornych z roku 1820 w aktach luźnych kościoła parafialnego nowskiego).

Roku 1819, dnia 20. 10. kwituje ks. J. Waralski proboszcz bzowski dziekanowi Bieszkowi z odebrania 50 złotych prowizyi od kapitałów Ojców Bernardynów za msze święte za dusze zmarłych.

(Kwit w rachunkach z roku 1820 jak wyżej).

Około 1820 roku otrzymał ks. Gutowski w Komorsku od dziekana Bieszka na msze św. za zmarłych 50 zł. procentu od kapitału Ojców Bernardynów u Pawla Grünfelda w Nowem umieszczonego. (Rachunki jak wyżej).

(Ciąg dalszy nastąpi).

[7]) Zeitschr. des hist.-Vereins. Marienwerder 1883. Heft 7. str. 68.

[8]) Dziś: Borowymłyn-Heidemühle.

Orły i sokoły.

Hej, orły, sokoły! wysoko, wysoko
Bujacie, gdzie ludzkie nie dojrzy was oko;
Toniecie w lazurach podniebnej przyrody,
Jak rybki w głębinach oceanu wody.

Nie znacie wy, ptaki, niedoli wędzideł,
Rozlega się waszych w podniebiu szum skrzydeł
I pieśnie brzmią wasze w słonecznym przestworze,
Lecz ucho ich ludzkie dosięgnąć nie może.

I gdy tam brzmią w górze swobody hejnały,
Martwota zalega ten ziemski glob cały;
Stąpają po ziemi w milczeniu i nudzie,
Odwykli w słoneczny spoglądać blask ludzie...

Z szumami swych skrzydeł, z pieśniami głośnemi,
Hej orły, sokoły! zbliżcie się ku ziemi!
Niech ockną się ludzie, żyjący ospale,
I zwrócą oblicza ku słońcu — ku chwale.

— O, darmo — odrzekną orły i sokoły
Namawiać nas, byśmy kraj górny, wesoły,
Gdzieśmy się wzlatywać od młodu wprawiali,
Na czyjeś wołanie tak łatwo rzucali.

Kto wzbić się chce w górę, niechaj już za młodu
Zaprawia się w trudy, nie szczędząc zachodu,
Inaczej, zaklęsłej w martwocie natury
Żadne orle loty nie wzniosą do góry!

Ferdynand Kuraś,
chłop z nad Wisły.



Zwierzęta przeszłości.

(Ciąg dalszy).

Ponieważ pierwotnem miejscem zalegania tych skał jest w większości wypadków, jakeśmy widzieli, dno mórz albo oceanów, słusznem się wyda pytanie, w jaki sposób te skały, ich budowa, zawartość, stały się dla nas dostępne.

Ludzie, którzy wyobrażają sobie, że ziemia, co ją pod stopami mają, jest czemś pewnem, stałem, zaufania wartem, mylą się trochę; stwierdzonem jest bowiem, że powierzchnia ziemi, względnie do poziomu wody w oceanach, podlega wahaniom, i w jednych punktach kuli ziemskiej wznosi się ona powoli ponad poziom morza, w innych odwrotnie zapada poniżej poziomu, a jak badania właściwe stwierdziły, w niektórych miejscowościach kierunek wahania ulegał parokrotnym zmianom. Te pełne znaczenia zjawiska najłatwiej, naturalnie, obserwować na wybrzeżach morskich. Uczeni dzielą je wogóle na dwie kategorye: obserwowane w miejscowościach wulkanicznych, gdzie je charakteryzuje zwykle krótkotrwałość i szybkość, przypisują działaniu sił wulkanicznych. Tego właśnie rodzaju wahania stwierdzono dokładnie nad zatoką Neapolitańską a także na Czarnomorskim brzegu Kaukazu.

Oto wysokie skaliste wybrzeże zatoki neapolitańskiej na wysokości niedostępnej dla najsilniejszego przypływu stoczone jest przez morskiego mięczaka Mediolę; jasny stąd dowód, że wybrzeże to wznieść się musiało w ostatnim okresie czasu ponad poziom morski; to przypuszczenie stwierdza najzupełniej odkopana w pobliżu Puzzuoli świętynia Jowisza, na której są wyraźnie ślady, że była ona niegdyś w morskiej pogrążona wodzie. Zresztą dziś jeszcze niedaleko obecnego wybrzeża zatoki dostrzedz można na dnie morskiem gmachy, które oczywiście wraz z lądem zanurzyły się niegdyś pod wodę. Fakt analogiczny dla Czarnomorskiego wybrzeża Kaukazu opisuje Czerniawski, który w pobliżu miasteczka Suchum natrafił na zwaliska starożytnego miasta, ukrytego dzisiaj pod wodą, w odległości jakichś 800 metrów od wybrzeża.

Zjawiska, zaznaczone tutaj, przypisywane są, jakeśmy rzekli, działaniu sił wulkanicznych.

O wiele trudniejszemi do wytłomaczenia są wahania powierzchni lądowej na olbrzymich przestrzeniach, gdzie niema wulkanów. Że tego rodzaju wahania miały miejsce dawniej, dowodzą skały, np. wapienne, które jedynie tylko na dnie morskiem utworzyć się mogły, a które napotykamy dzisiaj, choćby w środkowych częściach lądów współczesnych; ale i obecnie jeszcze odbywają się podobne procesy: w roku 1807 na skałach wybrzeża szwedzkiego, na północ od Sztokholmu, porobione były odpowiednie znaki, i, jak ciągła obserwacya wskazuje, znaki te wznoszą się coraz wyżej po nad poziom morza. To podnoszenie się lądu nie we wszystkich punktach morza Bałtyckiego jest równomierne i mianowicie w okolicach zatoki Botnickiej dosięga największych rozmiarów.

Mamy także ciekawe fakty, dotyczące południowej części Skandynawii; dowodzą one, że już raz przez ocean zatopiona, powtórnie się z wody potem wyłoniła; szczątki organów morskich, napotykane tam wśród lądu półwyspu są wymownymi świadkami tych czasów, a niemniej wymowne świadectwo przeszłości tej ziemi daje łódka rybacka, kotwica i gwoździe, znalezione tam przy kopaniu kanału wśród muszli mięczaków na wysokości 27 metrów nad poziomem dzisiejszego morza; gdy skały, zawierające zabytki, skały osadzone w morzu, a dzisiaj nad jego poziomem wyniesione, rozkopano dalej na głębokości 18 metrów, natrafiono na chatę rybacką. Oczywista więc rzecz, że odbywało się tutaj na zmianę obniżanie się i wznoszenie lądu. Również posiadamy fakty, dowodzące stanowczo, że całe północne wybrzeże Europy i Azyi od dawien dawna unosi się niezmiernie powoli lecz ciągle.

Odwrotnie zauważono, że w niektórych miejscach, między innemi na zachodnim brzegu Europy, na dnie oceanów Wielkiego i Indyjskiego, odbywa się proces obniżenia. Że te wahania dna oceanów miały miejsce w obydwóch kierunkach już i w głębokiej przeszłości, dowodzą najlepiej koralowe wyspy, które dzisiaj sięgają bardzo daleko w głąb morza, a miejscami wznoszą się znacznie nad jego powierzchnią, chociaż tworzące je koralowe polipy na pewnej tylko głębokości pod poziomem morza mogą egzystować.



Ze Zlotu Okręgu IX Sokołów polskich
odbytego dnia 3 i 4 czerwca 1906 r. w Winterswijk w Holandyi.
Kilka gniazd sokolich wkracza z dwoma znakami sokolemi i muzyką na czele do parku, w którym po południu odbyły się ćwiczenia. Naokoło kolumny kroczy ludność holenderska mile witając naszych Sokołów.

Na zjawisku wahań powierzchni ziemi dłużej zatrzymaliśmy się, ponieważ zjawisko to, będąc wynikiem warunków, wśród których ziemia przybrała swe kształty i postać, na jej losy potężnie wpłynęło i wpływa: dzięki tym wahaniom oceany te zalewały znaczne przestrzenie zamieszkiwanych dziś przez ludzi lądów, to znów ustępowały z nich, zostawiając jako ślad swego panowania skały osadowe i szczątki zwierzęce, a także dzięki tym wahaniom skorupa ziemska fałdowała się i pękała miejscami, tworząc na powierzchni swojej nierówności, by miały co kruszyć — wyrównywać wiatry i wody bieżące.

Wszystkie te procesy, o których mówiliśmy tutaj, stanowią jak gdyby rozmaite przejawy życia, życia nieo-

graniczonego, ze skorupą ziemską związanego, a jak każda żyjąca istota podległa jest ciągłym przemianom, tak samo i skorupa ziemska zmienia wciąż swój wygląd, przeobraża się wciąż od chwili, gdy zaczęła istnieć. Czas jej istnienia w porównaniu z wiecznością jest bardzo nieznaczny, ale przyrównywany do dziejów ludzkości wygląda na wieczność i gdy myślą brzask jego starasz się przeniknąć, czujesz się tajem-[redacted] dzielone, należą [redacted] do jednego czy do różnych [redacted]

A. Kudelski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kwiat paproci.

Od wieków wiecznych wszystkim wiadomo, że nocą św. Jana, która najkrótszą jest w całym roku, kwitnie paproć; a kto jej kwiatuszek znajdzie, urwie i schowa, ten wszelkie na ziemi szczęście mieć będzie. Bieda jednak cała z tego, że noc ta jest tylko jedna w roku, a tak niezmiernie krótka: nadto paproć w każdym lesie tylko jedna zakwita, i to w takim zakątku, tak ukryta, że nadzwyczajnego trzeba szczęścia, aby na nią trafić. Ci, co się na tych cudowiskach znają, mówią jeszcze i to, że droga do kwiatu bardzo jest



Wieczorem.

trudna i niebezpieczna, że tam różne strachy przeszkadzają, bronią, nie dopuszczają i nadzwyczajnej odwagi potrzeba, aby ten kwiat zdobyć.

Pewnego czasu był sobie bowiem chłopak, któremu na imię było Jacuś a we wsi przezywali go ciekawym dla tego, że zawsze szperał, szukał, słuchał, a co było najtrudniej dostać, do tego on się najgoręcej garnął... taką miał już naturę. Co pod nogami znalazł, po co tylko ręką było sięgnąć, to sobie lekceważył, o co się musiał dobijać, karku nadstawić, najwięcej mu smakowało.

Trafiło się tedy raz, że gdy wieczorem przy ogniu siedzieli, a on sobie kij kozikiem wyrzynał, stara babusia, okrutnie rozumna, która po świecie bywała i znała wszystko, poczęła opowiadać o tym kwiecie paproci.

Ciekawy Jacuś słuchał i tak się zasłuchał, że mu aż kij z ręki wypadł, a kozikiem sobie palców omal nie poprzerzynał.

Skoro babusia skończyła, Jacuś powiedział sobie: „Niech się dzieje, co się chce, a ja kwiata tego muszę dostać. Dostanę, bo człowiek, kiedy chce mocno, a powie sobie: musi to być! — zawsze w końcu na swojem postawi.“

Tuż pod wioską, w której stala chatka rodzicieli Jacusia, był niedaleko las i pod nim właśnie palono sobótki w noc świętojańską.

Przez kilka miesięcy Jacuś czekał i czekał na tę noc i o niczem nie my-

ślał, tylko o tem. Czas mu się strasznie długim wydawał.

Naostatek nadeszła noc św. Jana, zbliżyła się noc, której on tak wyglądał: ze wsi wszystka młodzież się wysypała ognie palić, skakać, śpiewać i zabawiać się.

[redacted]

Jacusiowi się tak w głowie z wielkiej radości zamąciło, że nie wiele na ten głos zważał. — A co mi tam, rzekł w duchu, byle mnie na świecie dobrze było...

Z czapeczką na bakier, pośpiewując, wracał do domu. Droga przed nim świeciła, jak pas srebrny, drzewa się ustępowały, krzaki odchylały, kwiaty, które mijał, kłaniały mu się do ziemi. Z głową podniesioną stąpał dalej i tylko roił, czego ma żądać. Zachciało mu się naprzód pałacu, wioski ogromnej, służby licznej i strasznego państwa; ledwie o tem pomyślał, gdy znalazł się u kraju lasu, ale w okolicy zupełnie mu nieznanej.

Spojrzawszy sam na siebie, poznać się nie mógł. Ubrany był w suknię z przedniejszej materyi, buty miał na nogach ze złotemi podkówkami, pas sadzony kamieniami drogimi, koszulę z najcieńszego płótna.

Tuż stał powóz, koni białych sześć w chomontach pozłocistych, służba w [redacted]

A. Rieger.

wiozą; jakoż tak się stało. W mgnieniu oka powóz już był w ganku, na którym służba liczna czekała.

Tylko ani znajomego nikogo, ani przyjaciela, twarze wszystkie nieznane, osobliwe jakby poprzestraszane i pełne trwogi. Do stołu przynosili mu przysmaki z za morza; ale w końcu sprzykrzyło się wszystko i przejadło, bo głodu nigdy nie znał....

Upłynął tak rok i drugi; wszystko miał, czego dusza zapragnęła, ale szczęście to wydawało się takie czasem głupie, że mu życie obrzydło..

Najwięcej zaś go gnębiła tęsknota do wioski swojej, do chaty i rodziców, żeby ich choć zobaczyć, choć dowiedzieć się, co się tam z nimi dzieje... Matkę kochał bardzo, a ilekroć ją wspominał, serce mu się ściskało.

Jednego dnia zebrało mu się na odwagę wielką, i siadłszy do powozu, pomyślał, aby się znalazł we wsi przed chatą rodzinną. Natychmiast konie ruszyły, leciały jak wiatr; i nie opatrzył się, kiedy się zatrzymały przed

[redacted]

znanem mu dobrze podwórkiem. Jacusiowi łzy się z oczu puściły.

Wszystko to było tak, jak porzucił przed kilku laty, ale postarzałe, a po tych wspaniałościach, do których nawykł, jeszcze mu się nędzniejszem wydawało.

Żłób stary przy studni, pieniek, na którym drewka rąbał, wrotka od dziedzińca, dach porosły mchami, drabina przy nim... stały jak wczoraj. A ludzie?

Jacuś wysiadł. Pierwszy spotykający go w podwórku był stary Burek, jeszcze chudszy, niż był niegdyś, z szer-

ścią najeżoną. Szczekał na niego zajadle i ani myślał go poznać.

W progu pokazał się w koszulinie najmłodszy jego brat, Maciek.

— A matuś gdzie? — zapytał przybyły.

— Chorzy leżą — odrzekł malec, wzdychając.

— A tatuś?

— Na mogiłkach...

Choć Burek mało go za pięty nie chwytał, wszedł Jacuś do chaty. Stara matka stękając leżała w kątku na bie dnem łóżeczku. Podszedł do niej Jacuś... popatrzyła nań, nie poznała... Mówić jej było trudno, a on o nic pytać nie śmiał.

Serce mu się krajało. Już sięgał do kieszeni, aby złotem sypnąć na ławę, aż dłoń mu ścisnęła, bo strach brzydki go ogarnął, że szczęście własne utraci.

I wyrwał się z chaty do powozu, a z nim do pałacu; ale przybywszy tu zamknął się i płakał. Zbudziło się w nim sumienie i gryzło mu wewnątrz serce. Nie dawał się. Durzył się ciągle czemś, latał, jeździł, strzelał, jadł, pił, hulał... Nic nie pomogło.

W uszach ponad wszystkie wrzaski brzmiało: „Nie ma szczęścia dla człowieka, jeśli się niem z drugim podzielić nie może“.

Rok nie minął, aż Jacuś wysechł, jak szczypa, wyżółkł jak wosk i w tym swoim dostatku i szczęściu męczył się nad wszelki wyraz.

W końcu, po jednej nocy bezsennej, nakładłszy złota w kieszenie, kazał się wieść do chaty. Miał postanowienie, choćby wszystko stracić, a matkę i rodzeństwo uratować.

— Niech się już dzieje, co chce! — mówił — niech ginę, dłużej z tym robakiem w piersi żyć nie mogę.

Stanęły konie przed chatą.

Wszystko tu było jak przedtem; żłób stary u studni, pieniek, dach, drabina — ale w progu chaty żywej duszy nie było.

Jacuś pobiegł do drzwi: stały kołkiem podparte; zajrzał przez okno, chata była pusta.

Wtem żebrak, stojący u płotu, wołać nań zaczął.

— A czego tam szukacie jasny panie? Chata ta pusta: wszystko w niej wymarło z biedy, głodu i choroby.

Jak skamieniały stanął ów nieszczęśliwiec u progu — stał i stał...

— Z mojej winy zginęli oni — rzekł w duchu — niechże i ja zginę!

Ledwie to rzekł, gdy ziemia się otworzyła i zniknął, a z nim ów nieszczęsny kwiat paproci, którego dziś już próżno szukać na świecie.

Józef Ignacy Kraszewski.

BAŚŃ.

Gdy zmrok wieczorny z blasków aniołem
Codzienną skończy waśń,
W liliowej bieli, z gwiazdą nad czołem
Na ziemię schodzi baśń.
Złocistą nicią ubiegłe wieki
Z dzisiejszym wiąże dniem,
Świat legendowy, jasny, daleki
Fantazyi wskrzesza tchem.

Nad falą jezior, w lasów gęstwinie
Rusałek słychać śpiew,
Orszak chochlików w powietrzu płynie,
Śmieje się z poza drzew.
Siostra zabija siostrę rodzoną
Za świeżych malin dzban,
Ognie czerwone na górach płoną,
Lśni paproć w święty Jan.

Starzy bogowie, rycerze, mnichy
Budzą się z długich snów,
W miesięczny wieczór jasny i cichy
Na jawie żyją znów,
Odwieczne zamki brzmią hucznym gwarem
Przez dawnych zaklęć moc, —
To co umarło, powstaje czarem
W miesięczną cichą noc.

Or-ot.

Nadzwyczajny wypadek z nieboszczykiem

przez Engala Allana Poe.

(Dokończenie.)

Gdy skończyłem była już północ; poprosiłem więc tych panów, aby zbadali stan Waldemara.

Po chwili badania orzekli, że chory znajduje się w stanie niezwykle doskonałej katalepsyi magnetycznej.

Ciekawość lekarzy ożywiła się. Doktór F... postanowił spędzić całą noc przy chorym.

Pozostawiliśmy chorego w spokoju do godziny trzeciej rano. Wówczas zbliżyłem się do niego i znalazłem, że był w tym samym stanie.

W każdym razie wygląd ogólny nie robił wrażenia trupa, chociaż ciało miał zimne jak lód i sztywne.

Zbliżyłem się jeszcze i zmusiłem chorego do wykonania ręką pewnych ruchów, wskazywanych przezemnie.

Dawniej, gdy robiłem podobne doświadczenia z panem de Waldemar, nie zawsze udawały się.

Byłem przekonany, że nie spełni mej woli, ale ku memu niezmiernemu zdziwieniu, ręka jego, chociaż powoli, poruszała się w kierunku dawanych znaków. Po tym tak świetnym wyniku spróbowałem przemówić słów parę.

— Panie Waldemar, — zapytałem — śpi pan?

Nie odpowiedział, ale zauważyłem drżenie lekkie ust; wówczas powtórzyłem pytanie po raz drugi, trzeci. Po trzeciem zapytaniu całem ciałem wstrząsnął dreszcz, powieki podniosły się, aby ukazać białka oczu; usta poruszyły się leniwie i usłyszałem cichy szept, zaledwie zrozumiały.

Tak, śpię w tej chwili. Nie budźcie mnie! Pozwólcie mi tak umrzeć.

Dotknąłem członków. Były tak samo zimne i sztywne. Ale ręka prawa poruszała się we wskazanym kierunku.

Zapytałem więc znowu uśpionego:

— Czy zawsze jeszcze uczuwasz pan ból w piersiach?

Odpowiedział nieprędko i jeszcze mniej niewyraźnie:

—Ból? — Nie... Umieram.

Uważałem za niewłaściwe dręczyć dłużej umierającego w tej chwili. Pozostawiłem go więc bez zmiany aż do przyjścia doktora F..., który okazał wielkie zdziwienie, znajdując chorego jeszcze przy życiu. Po zbadaniu pulsu i przyłożeniu zwierciadła do ust chorego prosił mię, abym raz jeszcze przemówił do pana Waldemara. Zgodziłem się i rzekłem:

— Panie Waldemar, śpi pan jeszcze?

Jak przedtem upłynęło kilka minut, zanim odpowiedział; mówił z przerwami, jakby wysilając całą swoją energię i tak cicho, jak poprzednio.

— Tak, ciągle śpię i umieram.

Wówczas doktór prosił mnie, abym pozostawił chorego w spokoju do chwili, kiedy nadejdzie śmierć, która po orzeczeniu lekarza miała nastąpić po pięciu minutach. Postanowiłem jednak zadać mu jeszcze kilka pytań.

Podczas gdy mówiłem, zauważyłem nagłe zmiany na twarzy konającego. Oczy zapadły gdzieś w głąb, powieki podniosły się lekko, skóra przybrała kolor trupi — kolor pergaminu i dwie plamy czerwone, suchotnicze na policzkach nagle zgasły.

Użyłem tego wyrazu „zgasły“ dla tego, że na mnie zrobiło to wrażenie, jak gdyby świeca nagle zgasła. Górna warga skurczyła się i odkryła zęby, broda zapadła, otwierając szeroko usta i ukazując w jamie ustnej język zupełnie czarny i rozdęty.

W panu Waldemar nie było już żadnych odznak życia. Stwierdziwszy śmierć, chcieliśmy oddać pana Waldemar w opiekę żałobników, gdy nagle

ujrzeliśmy silne drżenie języka, które trwało jedną minutę.

Podczas tej chwili z gardła chorego wydobył się głos. Taki głos straszny i dziwny, że szaleństwem byłoby usiłować go opisać. Mógłbym zastosować kilka porównań mniej więcej prawdziwych, mówiąc, że był ostry, przenikliwy, rozdzierający, jakgdyby wychodził z głębokiego dołu, — ale to nie określa go dostatecznie z tej racyi, że głosu takiego nigdy jeszcze żadne ucho ludzkie nie słyszało. Przynajmniej mnie się tak zdawało, że głos ten jakby pochodził z ogromnej odległości, albo z jakiejś przepaścistej głębi. Mówiłem o dźwięku tego głosu, a teraz opowiem, że dziwnie, wyraźnie odróżniałem sylaby. Mówił wyraźnie, przerażająco wyraźnie nie poruszając ustami. Widocznie odpowiadał na moje zapytanie poprzednie, które zadałem mu na kilka minut przed śmiercią.

— Tak! — mówił — nie spałem, a teraz, teraz już nie żyję.

Przy tych słowach wszystkich obecnych ogarnęło nieopisane przerażenie.

Student zemdlał. Żałobnicy pouciekali i żadną siłą niepodobna było sprowadzić ich z powrotem do tego pokoju.

Co do moich osobistych wrażeń — nie silę się opisywać ich czytelnikom.

Prawie przez całą godzinę usiłowaliśmy studenta przyprowadzić do przytomności.

Gdy oprzytomniał, wróciliśmy do pana de Waldemar.

Był ciągle w tym samym stanie z tym wyjątkiem, że już nie miał oddechu.

Ale ręka pomimo moje usiłowania nie poruszyła się wcale. Jedynie tylko ciągłe drzenie języka świadczyło o tem, że wpływ magnetyzmu nie ustał.

Za każdym razem gdy zadawałem pytanie, widziałem pewne usiłowanie i chęć odpowiedzi, ale widocznie wysiłek woli trwał za krótko. Tymczasem gdy zadawał pytanie który z doktorów, nie wywierało to żadnego wrażenia na umarłym.

O godzinie 10-tej wyszedłem z doktorami, pozostawiając zmarłego opiece domowych.

Po południu wróciliśmy znowu, by go zobaczyć. Stan był bez zmiany. Zaczęliśmy rozmyślać i badać, czy można go obudzić ze snu magnetycznego. Bo widocznem było, że to, co nazywamy zwyczajną śmiercią i rozumiemy pod tem słowem, zostało powstrzymane działaniem magnetycznem. Zrozumieliśmy, że obudzić go teraz, byłoby tylko przyspieszyć rozkład organizmu.

Tak przeczekaliśmy tydzień cały, zmieniając się codziennie i dyżurując przy trupie.

W ten sposób minęło mniej więcej siedm miesięcy. Podczas tego przeciągu czasu trup pozostał bez zmiany.

Nareszcie pewnego dnia postanowiliśmy go obudzić. Właśnie to nasze postanowienie było wynikiem tylu różnych nieprawdopodobnych opowiadań w kołach znajomych i nieżyczliwych.

Aby obudzić pana de Waldemar ze snu, użyłem zwyczajnych przy budzeniu sposobów. Jakiś czas pozostawały bez wyniku. Pierwszym objawem powrotu do życia było zupełne zapadnięcie gałek ocznych i obfity wyciek żółtej cieczy z pod powiek o ostrym, ohydnym odorze.

Doktór prosił, abym spróbował jeszcze ruchów ręki, ale usiłowania moje spełzły na niczem. Doktór L. wyraził chęć, abym raz jeszcze zadał trupowi pytanie. Zadałem następujące:

— Panie Waldemar, mógłby pan wyjawić nam w tej chwili swoje uczucia i pragnienia?

Na sekundę pojawiły się suchotnicze plamy na policzkach i język zaczął trząść się, a raczej poruszać gwałtownie w jamie ustnej, gdy tymczasem usta i szczęki pozostawały nieruchome, a z gardła wydarł się straszny, opisany poprzednio głos:

— Na miłość Boską! — prędko! prędko uśpijcie mnie znowu... albo prędzej obudźcie mię! — prędzej tylko! Mówię wam, że już nie żyję!

Byłem tak przerażony i zdenerwowany, że przez chwilę nie wiedziałem, co mam robić — obudzić, czy znowu uśpić...

Chciałem uspokoić go i uśpić, a potem naraz zacząłem usiłować obudzić go, co mi się też prędzej udało.

Ale tego, co nastąpiło potem, żaden człowiek nie mógłby nawet spodziewać się, — bo było to coś ponad wszelkie pojęcie.

Podczas gdy umarły krzyczał jeszcze: „nie żyję, nie żyję!“ — użyłem szybko środków budzenia i nagle, w jedną sekundę, a może jeszcze szybciej ciało rozpadło się — rozpłynęło się, wprost rozłożyło się w moich rękach.

Nekrologia.

† Ś. p. *ks. Ignacy Kamieński*, dawniejszy proboszcz w Kamionce, umarł nagle w sędziwym wieku dnia 30-go z. m. wieczorem w Poznaniu na św. Łazarzu; do ostatniej chwili pełnił jako emeryt obowiązki kapłańskie przy kościele Matki Boskiej Bolesnej na św. Łazarzu. Nieboszczyk liczył lat 71, wyświęcony na kapłana był w 1859-ym roku. Niech spoczywa w Bogu!

† S. p. *Edward Franciszek Kozielski*, żołnierz z roku 1863-go, były tłómacz sądowy, brat księdza proboszcza Teodora Kozielskiego z Ptaszkowa, ojciec lekarzy dra Władysława Kozielskiego w Pszczynie i dra Maryana Kozielskiego w Dortmundzie, dnia 27-go z. m. w Pszczynie na Górnym Śląsku. R. i. p.

† Ś. p. *Władysław Czajkowski*, dnia 24-go z. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Józef Wendland*, pozasłużbowy nauczyciel, dnia 26-go z. m. w Poznaniu — Jeżycach, przeżywszy 83 lata. Pogrzeb odbył się dnia 30-go z. m. w Żerkowie.

† Ś. p. *z Budzińskich Jadwiga Jankowska*, dnia 27-go z. m. w Toruniu w 31-ym roku życia.

† Ś. p. *Franciszek Białas*, dnia 2-go b. m. w Ruchocicach.

Treść pism.

— „Przemysłowiec“ — tygodnik dla rzemiosła, przemysłu i handlu — organ Związku Towarzystw Przemysłowych — wychodzi w Poznaniu — nr. 26: Obniżenie przedpłaty na „Przemysłowca“. — Jakie wykształcenie ogólne powinien mieć rzemieślnik? (Ciąg dalszy). — O wystawach w oknach wystawnych. — Sprawozdanie Towarzystw. — Z dziedziny ekonomii: Trusty w Ameryce. — Nauka terminatorów we Francyi. — Wyrazy obce oraz skrócenia zastosowane w korespondencyi przemysłowej. — Kronika.

— „Przegląd rolniczy“ — pismo tygodniowe, illustrowane, poświęcone rolnictwu na ziemiach polskich wychodzi w Warszawie — nr. 25: Tępienie wołka zbożowego. — Ocena wartości siana. — Rolnictwo na ziemiach polskich. — Nowości zawodowe i rozmaitości. — Kronika rolna i obca. — Przegląd piśmiennictwa.

— „Świat kobiecy“ — tygodnik poświęcony wszelkim gałęziom pracy kobiecej, literaturze, sztuce i gospodarstwa wychodzi w Warszawie — nr. 24: Konkurs na polski kobiecy strój. — Odezwa. — List otwarty do ziemianek. — Z. K. Z. Zebranie ogólne Kółka włościanek i czytelnie ludowe. — Szary ptak. — Przegląd działalności kobiecej. — Dział informacyjny. Felieton: W ochronce.

— „Świat“ — pismo tygodniowe illustrowane, wychodzące w Warszawie — nr. 25: Karta albumowa: Pogrom w Białymstoku. — Literatura dla dorosłych. — Zaszumi las. — Z tryoletów. — Z życia Litwinów wileńskich. — Sala koncertowa. — Henryk Opieński. — Wielki temat. — Z wrażeń teatralnych i innych. — Zapotrzebowanie lekarzy na Kaukazie. — Król kurkowy. — Ze Lwowa. — Pogrom w Białymstoku. — Napad na pocztę. — Z kroniki towarzyskiej. — Konkurs kwartetów. — Illustracye.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Kwestya rzemieślnicza w chwili obecnej.

Panuje rozpowszechnione mniemanie u ludzi, nie znających dokładnie kwestyi rzemieślniczej, że agitacya, jaką rzemieślnicy dziś prowadzą, jest nowszej daty, co nie zgadza się z prawdą, gdyż rzemieślnicy wystąpili zgodnie ze swemi żądaniami, już od tej pory, odkąd nastała wolność procederowa. Wówczas to występowano jak dziś ze skargami, że zbyt dla wyrobów rękodzielniczych zmniejsza się, że rzemieślnicy cierpią skutkiem braku zarobku, że kredyt stracili i stan rzemieślniczy ubożeje.

Nie ulega wątpliwości, iż niejedno musiało zmienić się na niekorzyść rzemieślnika, bo rzemiosło zostało poszkodowane nowemi wynalazkami, bo musiało ono uledz w walce o byt, która nie zna litości dla słabszego.

Trudno było rzemieślnikom walczyć przeciw maszynom zastępującym prace rąk tysiąca. Chociażby rzemieślnicy byli opierali się przemocą tym nowościom, jak to tu i owdzie się działo, chociażby byli zburzyli maszyny, nic mogliby wygrać, bo przeciw sobie mieli przemoc, ogół bowiem chce, aby najtaniej mógł zaspokoić swoje potrzeby.

Rzemieślnicy musieli więc ustąpić i niektóre rzemiosła upadły zupełnie, jak n. p. tkactwo; tkacze zmuszeni byli szukać kawałka chleba jako robotnicy, lub w innem rzemiośle, jeżeli im oczywiście czasu starczyło na wyuczenie się. Były to najcięższe czasy dla niektórych rzemiosł, i dziś się to dzieje, bo co kilka lub kilkanaście lat upada to lub owo rzemiosło skutkiem wynalazków.

Na szczęście razem z fabrykami i maszynami powstały nowe zapotrzebowania; rzemieślnik nawet w czasach dzisiejszych nie byłby w możności wybudować wielkiego okrętu wojennego, ani też kotlarz wielkich kotłów parowych. Wielki przemysł znalazł więc nowe pola zbytu i w tym kierunku rzemiosłu nie robi konkurencyi.

Często też zdarza się, że rzemieślnik znajduje w wielkich przedsiębiorstwach chleb, wyrabiając pewne części machin lub też wykonując roboty szczególniej wymagające subtelności. Dalej niejeden rzemieślnik dorobiwszy się mienia mógł pracownię swoją rozwinąć w fabrykę, korzystając z pracy maszyn. Nie wolno skarżyć się rzemieślnikowi pracującemu w wielkich fabrykach na to, że stracił samodzielność, bo w naszych czasach samodzielność przy biedzie niewiele jest wartą.

Każda fabryka machin ma swych modelarzy, każdy wielki browar ma swych bednarzy, a nawet koleje i poczty dają stałe pensye rzemieślnikom, co jest ulgą dla rzemiosła.

Część mistrzów przechodzi też do stanu kupieckiego, kupując od fabryk n. p. obuwie, zegarki, kosze, wyroby blacharskie, trudniąc się tylko reparacyą. Wielkie bazary nie zdołały zniszczyć specyalnych interesów i w bazarach nie kupuje się n. p. odzieży lub mebli, interesy te ostatnie nie tylko nie ulegają w walce konkurencyjnej z bazarami sprzedającemi wszystko, lecz przeciwnie podnoszą się, o czem świadczą i w naszem mieście tego rodzaju interesy specyalne, mające na ulicach pryncypalnych wspaniałe gmachy i wystawy.

W wielkich miastach, gdzie zapotrzebowanie jest olbrzymie, bazary wyrządzać będą zawsze szkodę rzemieślnikom, w mniejszych miastach rzemieślnicy zorganizowani mogą obronić się doskonale. Niejednokrotnie podają pisma zawodowe wypadki, że tu i owdzie zwyciężyli połączeni stolarze bazary, handlujące także meblami, jeżeli urządzili wspólnemi siłami skład z gotowemi meblami. Również jest cały szereg rzemiosł, które w największych miastach, istnieć będą, jak np. piekarze, rzeźnicy, fryzyerzy i inni.

W zawodzie, w którym reparacya jest donośną, mogą rzemieślnicy szukać utrzymania prowadząc handel gotowym towarem, ale wówczas musi rzemieślnik taki obsługiwać publiczność rzetelnie, znać się na rachunkowości i być rzetelnym w towarze.

Dalszym sposobem ratowania rzemiosła pozostaje spółka zawodowa. — Jeżeli rzemieślnicy ze zawiści wzajemnej i braku zaufania w tym kierunku nie pójdą i nie będą zakładali spółek zawodowych, to kapitalizm zada im klęski takie, iż trudno będzie podźwignąć się rzemieślnikowi, który stanie się w końcu prostym robotnikiem spekulanta, jak to już dzisiaj w tylu zawodach widzimy, gdzie handlarze cały zarobek rzemieślnikowi odbierają wykorzystując jego siły i zdrowie.

Rzemieślnikowi w walce z konkurencyą wielkiego przemysłu potrzebne są szkoły zawodowe, uzupełniające, kursa, ale chodzi o to, aby te szkoły były praktycznie urządzone, aby rzemieślnik nie tracił w nich czasu za wiele i bezpożytecznie, bo i dla rzemieślnika czas to pieniądz.

Nasi rzemieślnicy powinni w towarzystwach poszczególnych zastanawiać się nad tem, czy można założyć w danej miejscowości handle gotowych wyrobów z warsztatami reparacyjnemi, gdzie nie można tego uczynić w pojedynkę, mogą zbiorowo interesy zakładać. Spółka rzemieślnicza będąc właścicielem handlu, albo nawet rzemieślnik, nie będą wyzyskiwali pracy rzemieślnika, w pierwszym wypadku dzielić się będą zyskiem. Często leżałoby w interesie naszego przemysłu, abyśmy posiadali fabryki polskie, bo w nich rzemieślnicy polscy znajdą zajęcie. Pod tym względem znajomość lokalnych stosunków jest ważną i tutaj nasze towarzystwa mogłyby niejedną przysługę oddać swojskiemu przemysłowi, gdyby zbierano szczegółowe dane jakie jest zapotrzebowanie tych lub owych wyrobów.

Dalej zaopatrywanie naszych pracowni w maszyny przyczyniłoby się do ograniczenia konkurencyi wielkich fabryk. Na to trzeba osobnego kredytu, zwiedzania zbiorowych wystaw przemysłowych i machin przez delegatów towarzystw.

Wreszcie kursa specyalne, nauka rachunkowości są konieczne, a jeżeli instytucye rządowe mają niedomagania, to trzeba pomyśleć o innych sposobach wykształcenia, w czem także mogą nasze towarzystwa usiłowaniami zbiorowemi sprawie dopomódz.

Atoli jednem z najważniejszych zadań będą spółki zawodowe; kwestya tych spółek nie powinna być nigdy spuszczoną z oka.

„Przemysłowiec.“

Zyski z kopalń i hut śląskich.

Spółka śląska hut i kopalń (Hohenlohewerke) ogłasza sprawozdanie z obrotu spółki za rok ubiegły, z którego wyjmujemy następujące liczby: Dochodu miała spółka 7 639 864 marek, czyli 400 000 marek więcej niż w roku 1904. Po odciągnięciu wydatków na zarobki robotników itd., pozostaje spółce 5 574 163 marek czystego zysku. Z tego dostaną akcyonaryusze po 21 procent dywidendy, a członkowie rady nadzorczej, których jest 13, dostaną 296 tysięcy 551 marek tantyemy, czyli każdy z tych panów 22 800 marek.

DZIAŁ KOBIECY.

Zdrowia!

W znamiennym artykule zamieszczonym w „Dobrej Gospodyni“ pod powyższym tytułem pani Marya Łopuszańska tak się między innemi odzywa do matek — Polek w Kongresówce:

Wobec panującego dziś chaosu, wobec rozwielmożnienia się zwłaszcza rozmaitych mętów i szumowin społecznych, które podszywają się częstokroć pod najszlachetniejsze hasła, potrzeba nam jaknajwięcej spokoju, zimnej krwi i panowania nad sobą, aby się nie dać unieść ani namiętności, ani też ślepej, bezmyślnej trwodze, która odbiera trzeźwy pogląd na rzeczy. Pamiętajmy, że przeżywamy dziś chwile historyczne, przełomowe, że musimy zebrać wszystkie siły tak ducha, jak i ciała, aby je przetrwać godnie, aby nie odstąpić od wzorów, pozostawionych nam przez nasze matki i babki, które również przeżywały chwile podobne i dały świadectwo, że kobieta polska potrafi, niemniej niż mężczyzna, być odważną, silną i nie zboczyć ani na piędź z drogi obowiązków obywatelskich. Ale, by zająć godnie owo stanowisko przy boku mężczyzny, i nietylko nieodbierać mu ducha, ale nawet nieraz krzepić go w ciężkich chwilach, należy samej być silną i zdrową na duchu i na nerwach. Uczmy się panować nad sobą, by w każdym wypadku rachować na przytomność umysłu, bo od tego nieraz zależy bezpieczeństwo, a nawet i życie nie tylko nas samych, ale, co ważniejsza, naszych najbliższych i najdroższych. Hartujmy się same i hartujmy dzieci nasze, bo niewiemy, czego dożyją i na co patrzeć będą przymuszone. Drzewo spopiela się w ogniu, tylko żelazo oczyszcza się i zamienia w stal, której złamać niepodobna. Pojmujemy to dobrze, jak trudno jest dzisiaj zachować spokój i równowagę duchową, alež nawet instynkt samozachowawczy powinien nam dyktować, że o te dwie rzeczy należy dziś najwięcej się starać. Odwaga ze spokojem dziś bywa nieraz jedynym puklerzem w niebezpieczeństwie, — jest siłą ducha, która najpotężniej działa na rozkiełznane, ślepe instynkta i ujarzmia je, jak ujarzmia poskromiciel dzikie zwierzęta.

Spokój ten działa także i na dzieci, skoro widzą, że matka ich nie drży z trwogi na każdą wieść przesadzoną, wówczas nerwy ich powoli nabierają hartu i przywykają do rozmaitych wstrząśnień. Trzeba pamiętać, że niema nic bardziej udzielającego się nad trwogę; bojaźliwa matka czyni nieraz z dziecka prawdziwego męczennika, który jak zając drży, skoro usłyszy liść spadający z drzewa. Przeciwnie, jeśli dziecko widzi, że otoczenie jego niewzrusza się byle czem, że rodzice umieją z pogodnem czołem spotkać niejedno niebezpieczeństwo, wówczas wyradza się w niem owa wesołość, która w najcięższych chwilach potrafi drwić z przeciwności zsyłanych przez los. Tego rodzaju usposobienie jest najszczęśliwsze, bo bierze życie z jego strony pogodnej i zajmującej, wówczas każda przygoda, która dla innych stałaby się powodem do wyrzekania — dla podobnych jednostek jest źródłem zadowolenia. Nic też niema bardziej pożądanego dla otoczenia, niż taka natura; zdaje się, że wszelkie przygnębienie pierzcha, gdy tylko tacy ludzie się ukażą gdziekolwiek, gdyż oni wnoszą wszędzie ze sobą pogodę i dobry humor.

Każda tedy matka powinna się starać o to usilnie, by na drogę życia dać swoim dzieciom zapas pogody i wesołości, aby umiały odważnie spojrzeć oko w oko każdemu niebezpieczeństwu. Jest to obecnie największy skarb, jaki możemy przekazać młodemu pokoleniu mającemu przed sobą niewiadomo jak długi jeszcze okres walk i zapasów.

Muzyka w wychowaniu.

IV.

Początkowe lekcye muzyki nie powinny trwać dłużej nad 25—30 minut. Nawet wyżej posuniętym uczniom wystarczają takie lekcye. Dłuższe zanadto męczą fizycznie i umysłowo ucznia i nauczyciela.

Od samego początku nauki nauczyciele i nauczycielki pilnie zważać powinni na właściwy układ rąk i palców, od którego należy czystość uderzenia.

Twardy ton fortepianu tylko przez umiejętne uderzenie staje się miękkim, a zarazem wyraźnym. — Dla tego też ćwiczenia palców tak ważną odgrywają rolę w nauce myzyki. Ćwiczyć ciągle, nieustannie, po troszę, stopniowo coraz więcej, aby palce pozbywszy się sztywności, nabrały mocy i wprawy.

Wprawne tylko i wyćwiczone długą pracą ręce zdołają owładnąć instrumentem i wydobyć z niego tony przemawiające do duszy.

Ćwiczenia palców nie powinny ustawać, skoro uczeń osięgnął pewien stopień biegłości, lecz trwać nieustannie, chociaż nauka jest ukończona. — Artyści pewnie bez wyjątku jak najsumienniej odbywają ćwiczenia, gdyż właśnie w grze fortepianowej pilność jest geniuszem, a krótki chociażby zastój jest cofaniem.

I Liszt nie byłby Lisztem, gdyby nie był olbrzymią pracą zdobył tej fenomenalnej biegłości, która mu dała możność używania niesłychanie trudnych kombinacyi w akordach i pasażach.

Wybór ćwiczeń jest tak obfity i urozmaicony, że trudno rzec, które z nich są mniej lub więcej polecenia godne. Można jednak do wszystkich zastósować zasadę: im łatwiejsze, tym lepsze. Ćwiczenie bowiem nie powinno natężać uwagi ucznia, lecz przedewszystkiem zatrudniać palce prawidłowo i równomiernie, do czego kawałki melodyjne nie dosyć nastręczają sposobności.

Do najlepszych i najpotrzebniejszych ćwiczeń należą gamy, przeto trzeba na nie zwrócić pilną uwagę. — Nie należy jednak wymagać gam od początkujących uczniów, gdyż to ćwiczenie jest dla małej ręki bardzo trudne.

Nużącą jednostajność ćwiczeń trzeba koniecznie ożywić i urozmaicić łatwemi melodyami, które sprawiają wrażenie skończonej całości. I mniej uzdolnione dzieci chętnie wygrają ładną, a prostą melodyę, która im wynagradza mozolne i nudne ćwiczenie.

Rodzice polscy powinni dostarczyć dzieciom melodyi narodowych w łatwym układzie, aby jak najwcześniej obudzić w nich zamiłowanie ojczystej pieśni.

Obfitość i piękność naszych pieśni kościelnych, ludowych i patryotycznych, powinnaby zdobyć im jak największe rozpowszechnienie. Tym sposobem muzyka może się stać ważnym czynnikiem w narodowem wychowaniu.

U nas mało się pracuje w tym kierunku. Kółka śpiewackie nie dosyć są liczne i po części nie dość umiejętne kierowane, aby potrafiły oddziałać na szersze koła. Tym usilniej starać się powinniśmy pielęgnować pieśni ojczyste w domu i rodzinie.

Dopóki Polak lubi i pielęgnuje pieśń narodową, dopóki wzrusza go dźwięk swojskiej nuty, dopóty w sercu jego tleje „święta miłość kochanej ojczyzny“.

M. G.

ROZMAITOŚCI.

Bunty w armii rosyjskiej. Do „N. Fr. Presse“ donoszą z Warszawy, że w 10 tym batalionie saperów, stojącym w obozie na Powązkach, wybuchł bunt. Powodem stał się spór dwóch oficerów piechoty z dwoma podoficerami inżynieryi. Saperzy odmówili wydania zbuntowanych kolegów i stawili opór najpierw komendantowi batalionu, potem brygady. Pułkownikowi rzucono w głowę cegłą, tak, że upadł na ziemię. Gdy wreszcie komenda nakazała rozbrojenie zbuntowanych, obstawili oni obóz strażami i nie wpuszczali nikogo do środka. Odbyli też naradę, na której stawiali, oprócz żądań ekonomicznych, także polityczne.

Dzienniki donoszą o buntach w garnizonie petersburskim. Ruch rewolucyjny objawia się nawet wśród pułków gwardyi w Krasnem Siole. — Z Wyborga donoszą, że żołnierze tamtejszego garnizonu mimo zakazu biorą gremjalnie udział w zgromadzeniach socyalistycznych.

„Duma“ donosi, że w wojskowym obozie w Krasnem Siole odbywają się liczne zgromadzenia, w których biorą także udział żołnierze i podoficerowie gwardyi. Władze są wobec tego bezsilne. Wszyscy mówcy przemawiają za potrzebą wystąpienia w obronie dumy i narodu.

Z Sebastopola donoszą, że komenda twierdzy odkryła drukarnię, która drukowała rewolucyjne pisma dla żołnierzy garnizonu. Koszary, w których znaleziono drukarnię, zamknięto. Dwie trzecie części tego garnizonu uchodzą za niepewne. Wiele batalionów musiano rozbroić i internować w koszarach. Obiega pogłoska, że w Sebastopolu odkryto sprzysiężenie oficerów i że wielu niższych oficerów, a także 3 sztabowych uwięziono za rewolucyjną działalność.

W Odesie zastrajkował jeden z pułków. W innych pułkach odbywają się codziennie zgromadzenia, wogóle bunty wojska są na porządku dziennym.

* * *

Wywłaszczenie w Carycynie. Zdanie, bardzo często wygłaszane w Dumie, że ziemia jako dar boski, należy do wszystkich, wywarło oczekiwany skutek w Carycynie, mieście handlowem nad Wołgą. Oto pewna kategorya mieszkańców tego miasta, wyznająca z konieczności maksymę „omnia mea mecum porto“ — postanowiła zająć na własność place miejskie. Postanowiła i wykonała postanowienie. W ciągu jednej nocy olbrzymi plac miejski nad rzeką pokryto masą szop drewnianych i płotów, rozgraniczających cały plac na prawidłowe działki po 100 kw. sążni (400 kw. mtr.) — poranne słońce ujawniło nowych właścicieli, wbijających ostatnie gwoździe w swe obejścia. Trzeba zauważyć, że pomiarów dokonano zawczasu, czemu policya nie przeszkadzała, sądząc, że mierzą miernicy miejscy. Drzewa na budowę dostarczyli naturalnie właściciele składów, przeważnie bez swojej wiedzy.

Na drugi dzień zebrała się Rada miejska i po długich a zasadniczych debatach postanowiła wezwać komunistów do ustąpienia dobrowolnie z zajętego placu, gdyby zaś nie usłuchali — zastosować całą srogość praw. Taki obrót sprawy mogli nowi właściciele uważać za korzystny dla siebie, bo przy znanej z pośpiechu działalności „dum“ rosyjskich napewno doczekaliby się spokojnie przedawnienia. Zły los jednak w osobie znanego i naszemu społeczeństwu wielkiego handlarza drzewa i fabrykanta zapałek Łapszyna, postanowił inaczej. Pan Łapszyn mianowicie używał tego placu bezpłatnie jako składu budulcu w sezonie, więc oczywiście powstanie tej kolonii nie było mu na rękę. Uraczył więc kilkunastu swych robotników wódką i nakazał im zburzenie budowli. Zawrzała walka i trwała cały dzień bez rezultatu; dopiero w następnym dniu armia Łapszyna, powiększona do 80 ludzi, odniosła stanowcze zwycięstwo.

* * *

Milionowy spadek. Przed kilku tygodniami donosiliśmy o milionowym spadku, który w Ameryce pozostawić miał zmarły tam Polak, nazwiskiem Nowicki. W sprawie tego spadku wyjechał ze Lwowa do Ameryki — jak wiadomo — domniemany spadkobierca p. Nowicki, urzędnik Wydziału krajowego. Sprawa ta jednak nie jest tak jasną, jak ją pierwotnie przedstawiano. I tak nie jest zgodnem z prawdą, iżby dom Rotszylda w Wiedniu udzielił p. Nowickiemu zaliczki na wyjazd. P. Nowicki wyjechał na własne ryzyko, a za pośrednictwem domu Rotszyldów informował się tylko o spadku. Obecnie znowu z pretensyami do spadku po zmarłym w Ameryce Nowickim wystąpił artysta teatru Rozmaitości w Warszawie, od nowego sezonu zaangażowany do teatru lwowskiego p. Seweryn Nowicki, b. słuchacz politechniki we Lwowie. Według twierdzenia pp. Seweryna i Mieczysława Nowickich, zmarły milioner amerykański był ich stryjecznym dziadkiem. W każdym razie jednak spadek wciąż kręci się koło Lwowa.

* * *

Walka Indyan w Budapeszcie. Pułkownik amerykański Cody, znany pod nazwiskiem Buffalo Bill, przybył do Budapesztu, ażeby tam urządzić ze swoją ogromną trupą walki Indyan na wzór owych walk, które niegdyś na preryach staczali Indyanie z przybyszami europejskimi. Pewnej nocy kilku Indyan z jego trupy na ulicy Kerepeskiej nagabywało po przedstawieniu przechodniów, którzy ich wezwali do porządku. Wtedy Indyanie chwycili za rewolwery i noże i wzięli się do bójki. Zanim przybyła policya, Indyanie poranili znaczną liczbę osób, pomiędzy niemi 2 śmiertelnie. W sprawie tej wdrożono śledztwo, ażeby wykryć winnych Indyan, którzy zdołali umknąć.

* * *

Przędzące ślimaki. Niektóre ślimaki posiadają właściwość przędzenia tkanek i stwardniałych nitek śluzu. Na wzór pająków i gąsienic spuszczają się po nich z wysokości. Lindinger zauważył taką ślimaczą nić półtora metra długą, wprawdzie i w tym wypadku wykazała się powolność ślimaka, gdyż potrzebował na to więcej niż pół godziny. Jeszcze dziwniejszym jest fakt, że ślimaki na podobnej nici wspinają się znowu w górę i nić wciągają za sobą zupełnie, jak gdyby zwijały linę. Ślimaki, żyjące w wodzie również prząść umieją. Pohl zaobserwował, że ślimaki wodne używają podobnych nici, aby z powierzchni wody powrócić na miejsce, gdzie np. zostawiły pożywienie. Lindinger wyjaśnia na podstawie tych obserwacyi, dlaczego ślimak wydziela śluzowatą substancyę.

Każdy śpieszy z odpowiedzią, że czyni to, aby nie ześlizgiwać się z gładkich, stromych powierzchni. Jestto tylko część właściwego objaśnienia. Sluz służy także do oczyszczenia spodniej części ciała.

Gdy się posypie stopę ślimaka solą następuje obfite wydzielanie się śluzu, który oddala trującą dla ślimaka substancyę; ale zwierz ginie najczęściej z wycieńczenia.

Humorystyka.

Na starą nutę.

Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jednak dalibóg nieźli są ludzie,
Dobry jest świat!
Jeden drugiemu, z wielkiej miłości,
W czułym uścisku gruchocze kości,
Tak mu jest rad!

Dobrzy są ludzie, wiem ja coś o tem;
Żyją ze sobą niby pies z kotem,
Lub ogień z wodą;
Jeden drugiemu nie wchodzi w drogę,
Tylko mu zręcznie podstawia nogę,
Starą metodą.

Dobra i zacna jest ludzka rzesza:
Jeden na drugim psy wprawdzie wiesza,
Judzi i szczuje;
A gdy kamieniem w łeb go nie może,
To choć oszczeka po całym dworze,
Albo opluje!

Więc po co patrzeć na świat markotnie?
Wszak mamy bliźnich: są czarne sotnie,
Jest kozak — brat...
O! tak, choć życie idzie po grudzie,
Przecie dalibóg nieźli są ludzie,
A rajem świat!

Władysław Bełza.

Nie stracił humoru.

Minęła godzina po północy. Pewien pan, zdążając sam pustą uliczką ku domowi, został nagle napadnięty przez opryszka, który przestępując mu drogę zapytuje go szorstko: „Która godzina?“ Napadnięty nie tracąc głowy wymierzył opryszkowi silny policzek, zakrzyknąwszy: „Oto, wybiła 1-sza“. Opryszek nawpół ogłuszony, rzekł grzecznie: „Dobrze, żem się nie pytał o 12-tej — i zniknął.

Także pamiątka.

— Jestem w strasznym kłopocie, pożycz mi 10 marek.

— A czemuż nie zastawisz tego oto brylantowego pierścienia?

— Niepodobna, to pamiątka po nieboszczce siostrze.

— A moje pieniądze to pamiątka po nieboszczyku ojcu.

Lekcya zoologii.

Mamusiu, a co się robi z krową, gdy już nie chce dawać mleka?

— A wtedy, widzisz, z krowy robi się wół i mamy z tego befsztyki i polędwice.

Ważna przyczyna.

Zapatrzone kędyś w chmury
Dziewczę chłopca pyta:
— Cegój becys głupi Wojtku,
Kiej zjadłeś do syta?“
A Wojtuś jej odpowiada
Zbolałemi usty:
— Jakże nie mam lamentować
Kiej już... garnek pusty!...

Oczywiście.

Pani M. czyta wiadomosci wojenne.

— Jaka jest różnica między fortem a fortecą? — zapytuje męża.

— Przedewszystkiem fort jest rodzaju męskiego, a forteca żeńskiego — odpowiada małżonek.

— A które z nich jest straszniejsze ze strategicznego punktu widzenia? — zapytuje jeszcze.

— Forteca, oczywiście, bo jako należącą do rodzaju żeńskiego, trudniej ją zmusić do milczenia.

Podejrzany komplement.

Leciwa panna (do swego znajomego): O, niech mi pan wierzy, że ja dawniej byłam bardzo wesoła, nawet dowcipna; gdzie tylko się pojawiłam zaraz robiło się wesoło!

Znajomy pan: Ach, zupełnie o tem nie wątpię!... Pani i dziś jeszcze jest bardzo... zabawna!

Nieporozumienie.

— Jak ty możesz ścierpieć, żeby cię narzeczony całował?...

— Ależ, mamo, ja wcale nie cierpię.

Oda do gorsetu.

Ze wszystkich rzeczy,
Kształcących na świecie,
Ty jeden masz powszechną
Zasługę gorsecie!
Otyły wdzięk miarkujesz,
Podtrzymujesz słaby,
A gdzie go nie ma wcale —
Tam tworzysz powaby!

Humor warszawski.

Obecne wypadki polityczne w Królestwie i Rosyi dają prasie humorystycznej znakomity materyał do zjadliwej satyry. Oto próbka z warszawskiego „Dzięcioła“, wychodzącego w miejsce zawieszonej „Muchy“, na temat wyścigów:

Bieg I. (steeple chase): Reakcya klacz kara, dychawiczna (ojciec „Knut“, matka „Nachajka“), jeździec Goremykin, 2) „Pożyczka“ kl. kasztanowata (ojciec „Golec“, matka „Lichwa“) jeździec Kokowcew, 3) klacz kara, dychawiczna, (ojciec „Krętacz“ matka „Blaga“) jeździec Witte (spadł na półmetku), 4) „Swoboda“, skarogniada (ojciec „Kadet“, matka „Opozycya“) jeździec Rodiczew.

Bieg II. 1) „Bies“ wałach siwy, zdzozowaty (ojciec „Mrok“, matka „Hipokryzya“) jeździec Pobiedonoscew, 2) „Kułak“, ogier kary (ojciec „Donos“, matka „Stupajka“) jeździec Trepow, 3) „Alfons“, ogier pstry, wyranżerowany (ojciec „Łgarz“, matka „Prostytucya“) jeździec A. Suworin (red. „Now. Wremieni“), 4) „Padlec“ ogier brudny, zdopingowany (ojciec „Rubel“, matka „Psia Dusza“) jeździec Gringmuth (red. „Mosk. Wied.“)

Ogłoszenie na czasie.

Jest do odstąpienia lokal ze wszelkiemi wygodami oprócz tej, iż trzeba koniecznie płacić komorne.

Było ale niema.

Matka bijąc chłopca powiada:

— Lampartujesz się po całych dniach, a masz wyraźnie w katechiźmie napisane: Z jakim przestajesz, takim się stajesz.

— Tego proszę mamy nie ma w katechiźmie.

— Ale ja ci zakazuję uganiać! A to pewnie tam masz: Czcij ojca i matkę twoją.

— Było proszę mamy, ale teraz nie ma, bo mi Józka wydarła tę kartkę z katechizmu.

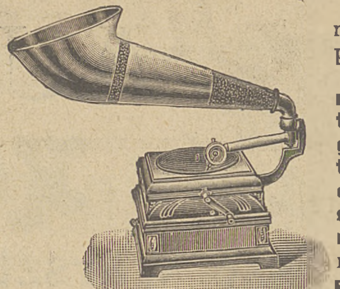
Dobre: 349

Mydła twarde do prania
„ rzadkie
„ toaletowe
Proszki do prania

dostarcza tanio

Fabryka P. Zwierzyńskiego

w Gnieźnie.



Doskonałe gramofony od **20 m.** począwszy.
Nowość! **Gramofony z opatentowaną w górę wygiętą tubą, oddającą bez szelestu i najnaturalniej** śpiewy, muzykę itp.
Doskonale opłacające się dla restauracyi i hoteli **gramofony automaty,** wygrywające po wrzuceniu 10 fen. przepyszne melodye.
Płyty do gramofonów z przepysznemi polskiemi melodyami. Śpiewy solowe z oper Halki, Hrabiny, śpiewy ludowe, monologi itp. wykonane przez znakomitych artystów warszawskich i lwowskich poleca w wielkim wyborze 234

M. Dutkiewicz,

zegarmistrz i złotnik w Inowrocławiu.

Cenniki i spis płyt do gramofonów bezpłatnie.

Pragnę kupić w śródmieściu

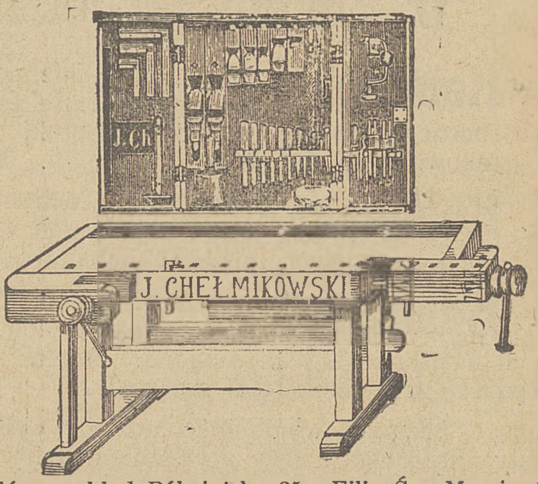
kamienicę

380

dobrze się rentującą z uregulowanemi hipotekami, wartości 200—300 tysięcy marek. Mogę wpłacić 65,000 marek.

Łaskawe oferty upraszam pod literami:
B. K. 1906, poste restante Poznań.

J. Chełmikowski, Poznań.



Główny skład Półwiejska 35. Filia Św. Marcin 45.
Specyalny skład narzędzi dla stolarzy, cieśli, garncarzy, sztukatorów.
Cennik darmo. 102
Adres: **J. Chełmikowski, Poznań (Posen).**

Hofmann & Seraïdaris

krajalnia tureckich tytoni
Hamburg 6, Merkurstrasse 26/27.

Najlepsze źródło zakupu

tureckich tytoni
dla fabryk papierosów.

Oprócz tego polecamy
SPECYALNE MARKI
w opakowaniu po 50 gramów

Nr. 1	**Cavalla**	**50**	**gr.**	**0,30 mk.**
„ 2	**Samsoun**	**50**	**„**	**0,40 „**
„ 3	**Dubec**	**50**	**„**	**0,60 „**
„ 4	**Jacca Dubec**	**50**	**„**	**0,70 „**
„ 5	**Nustratli**	**50**	**„**	**1,50 „**

Do nabycia przez wszystkie składy cygar i towarów kolonialnych. 322

Książki do nabożeństwa, książki ludowe w wielkim wyborze. **Krzyże pod szklanym dzwonem** 30 cm., wysokie, od 4,50 mk. począwszy. **Klosze** szklane, okrągłe dzwony do pokrycia figur i innych przedmiotów. **Kandelabry, świeczniki, lichtarze, lampki** do stania i zawieszania. **Medaliony, medaliki, krzyże, krzyżyki** różnej wielkości. **Obrazy M. B. Częstochowskiej** na drzewie malowane w różnych oprawach. **Wielki wybór obrazów olejodruków, olejograwur, stychów francuskich** w oprawach i bez opraw. **Naszyjniki** z prawdziwych korali z medalionikiem lub krzyżykiem poleca

Księgarnia Nowa, **FR. BŁAZEK. (Kwaśniewski).**

założona 1878 roku. 263
Poznań, Jezuicka ul. 12, (Posen Jesuitenstr. 12.)
Sprzedającym wysełamy na żądanie cennik.

Smalec, Smalec, Smalec.

Najlepszy berliński topiony . ft. 55 fen.
Surowy smalec . . . . . ft. 48 fen.

poleca jeszcze tylko

Fr. Jaworowski,

Poznań, Szeroka ulica nr. 15.
TELEFON 701. 310

SOPOTY!

Wygodne pokoje w umiarkowanej cenie poleca gościom kąpielowym pragnącym mieszkać tuż nad morzem 363
L. GŁOWACKI, Südstrasse 57 I.

Mój browar

jedyny w Wągrówcu i w powiecie, przeważnie bawarskie piwo wyrabiający, w najpiękniejszem miejscu miasta położony, z elektrycznem pędem i oświetleniem, z wielką słodownią, podwójnemi suszarniami, z obszerną lodownią i dużemi dobremi sklepami do składowego piwa mam zamiar pod dogodnymi warunkami sprzedać. 355

Józef Turk, Wągrówiec.

